DROGA DO ŚWITU

SZTUKA W 3 AKTACH

BOHDANA PEPŁOWSKIEGO

DRUGIE WYDANIE



WARSZAWA 1948

INSTYTUT WYDAWNICZY „SZTUKA"

BIBLIOTECZKA ~~ŚWIETLICOWA~~ Teatralna „SZTUKI"

TOM I

BOHDAN PEPŁOWSKI

DROGA DO ŚWITU

INSTYTUT WYDAWNICZY „SZTUKA"

SPÓŁDZIELNIA Z. ODP. UDZ.

BOHDAN PEPŁOWSKI

DROGA DO ŚWITU

SZTUKA W 3 AKTACH

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA 1948

INSTYTUT WYDAWNICZY „SZTUKA“

Przedmową opatrzył:
JULIUSZ W. GOMULICKI

Okładkę projektował:
MAREK BRUDNICKI

Zatwierdzono jako lekturę dopuszczoną do bibliotek i świetlic (kl. VI – VIII) szkoły podstawowej oraz klas gimnazjalnych – pismem Min. Oświaty z dnia 5. XII. 1947 Nr Oc 593/47.

Nakład 5.000 egz. na papierze 5 kl.
formatu 61×86 g. 80
Druk. Pryw. Średnia Szkoła Graficzna
Towarzystwa Salezjańskiego
Warszawa, ulica Ks. Siemca 6
Wykonano w kwietniu 1948. B-44523

„DROGA DO ŚWITU" I JEJ AUTOR

Rzecz to powszechnie wiadoma, że napisanie utworu literackiego opartego na wydarzeniach rzeczywistych i historycznie doniosłych, a przy tym bezpośrednio bliskich autorowi i niedawno dopiero minionych, jest przedsięwzięciem pociągającym i chętnie podejmowanym, ale pełnym wielorakich trudności i niebezpieczeństw.

Brak odpowiedniego dystansu czasowego fałszuje często i przeinacza perspektywę historyczną i nie pozwala na swobodne operowanie poszczególnymi elementami obrazu; trudność sformułowania bezstronnej i całkowicie sprawiedliwej oceny minionych wydarzeń, które zna się na ogół jedynie w niewielkim wycinku, naraża niejednokrotnie na popełnianie poważnych błędów faktycznych, a często występujące u twórcy krzyżowanie się stanowisk uczestnika i obserwatora sprzyja wprowadzeniu do takiego utworu momentów indywidualnych, ważnych i emocjonalnie wymownych dla autora, ale dla odbiorcy przeważnie nieciekawych i błahych pod względem artystycznym.

Wszystkie wzmiankowane trudności i niebezpieczeństwa występują oczywiście w każdym stosowanym przez autora rodzaju literackim, najczęściej jednak i najdobitniej w utworach dramatycznych, inscenizowanych, przemawiających bezpośrednio do publiczności i z tego powodu spotykających się z dużo szybszą i gwałtowniejszą reakcją.

W jaki sposób uporał się z tymi wszystkimi trudnościami autor „Drogi do świtu", który za tło historyczne swojego utworu wybrał ostatnie tygodnie Warszawy okupowanej i ostatnie tygodnie powstania 1944 r., a więc ten okres naszych dziejów, o którym zbyt trudno jeszcze pisać z bezstronnością, powagą i umiarem historyka, a zbyt łatwo z rozdrażnieniem i egzaltacją bezpośrednio zainteresowanego?

Zadanie było trudne, ale pociągające. Pepłowski wybrnął z niego w sposób najzupełniej zadowalający i stworzył dzieło proste, prawdzi-

we i bezpretensjonalne, a jednocześnie pozbawione tych wszystkich ubocznych akcentów, które mogły były skrzywić zasadniczą linię utworu i przekształcić go albo w artykuł publicystyczny, albo w pamiętnik osobistych przeżyć i wrażeń.

Udało mu się to dzięki niezwykłemu uproszczeniu podstawowej fabuły utworu, który jest sympatycznym, realistycznie potraktowanym obrazem ulicy warszawskiej i proletariackiej „kolonii" jej najpopularniejszych przedstawicieli — gazeciarzy i piosenkarzy okupacyjnych; dzięki zrezygnowaniu z jakiejkolwiek bardziej skomplikowanej „intrygi" dramatycznej, a przede wszystkim dzięki usunięciu ze sztuki bohatera indywidualnego, który musiałby być potraktowany jako wyraziciel pewnych treści ideologicznych, programowych dla utworu, a tym właśnie wymowniejszych i donioślejszych społecznie, im są bardziej powszechne, ogólniej rozumiane i mniej związane z pojedyńczą osobistością.

Bohaterem „Drogi do świtu" nie jest przeto jednostka, ale g r u p a. Co więcej — grupa dzieci, dzieci biednych, bezdomnych i osieroconych, ale mimo to odważnie kroczących, poprzez wszystkie przeszkody, ku nowej i lepszej przyszłości; wychowanych przez ulicę — ale za to uświadomionych społecznie i narodowo; głodnych — ale za to prawdziwych i współczujących.

Ta dziecinna grupa z „kolonii", składająca się z dzieci „inteligenckich", proletariackich i wiejskich, to żywy symbol całej „Drogi do świtu" i doskonałe wcielenie jej zasadniczej idei — idei solidarności społecznej.

Droga do „świtu" to nie tylko droga do wolności i niepodległości narodowej to jeszcze droga do pokoju, do równości i braterstwa, do uszanowania człowieka, do zrozumienia tych odwiecznych prawd, że wojna to „brud, śmierć i noc", że „szczęście jest prawem każdego" i że człowiek „po to zjawia się na ziemi, aby pracować, myśleć i kochać innych ludzi".

Pomimo tej szlachetnej i wzniosłej ideologii, autorowi udało się uniknąć tak często nadużywanego w utworach dramatycznych i sztucznie wydobywanego patosu. W. całej sztuce mówi się szczerze i prosto, tragizm opisywanych wypadków doskonale w niej sąsiaduje z niewymuszonym komizmem niektórych scen rodzajowych, a bohaterstwo obywa się bez wyświechtanych, pseudopatriotycznych frazesów.

* *

„Droga do Świtu" była już dwukrotnie wystawiana w r. 1946, w teatrach krakowskich („Stary Teatr") i warszawskich („Comoedia"), ale w teatrach zawodowych, opartych na zupełnie innych metodach pracy aniżeli teatry ochotnicze i operujących oczywiście innymi zasadami inscenizacyjnymi.

A przecież „Droga", dzięki swojej aktualnej i corocznie na nowo przypominanej treści, dzięki szlachetnej ideologii i dzięki prostocie kompozycyjnej, jest sztuką jakby umyślnie napisaną dla teatru ochotniczego i w jego dopiero ramach rozpocznie swoje istotne i wartościowe życie sceniczne.

Zwrócimy tu jeszcze uwagę na pewne specjalne możliwości inscenizacyjne, które powinny wysunąć „Drogę do świtu" na jedno z czołowych miejsc w repertuarze teatrów ochotniczych.

Przede wszystkim można wykorzystać samodzielną wartość poszczególnych aktów „Drogi" i zagrać ją w najrozmaitszych adaptacjach i skrótach scenicznych. W „Teatrze Ludowym" zwrócono już uwagę na odrębność i samodzielność drugiego aktu sztuki („kolonia" małych bohaterów), który można zagrać oddzielnie, jako swego rodzaju oryginalne i zamknięte widowisko; w podobny sposób można także postąpić z aktem pierwszym (kapitalny obraz ulicy warszawskiej podczas okupacji) i trzecim (powstanie), które po niewielu retuszach nabiorą również charakteru samodzielnych obrazów scenicznych. To wszystko nie wyczerpuje jeszcze innych możliwości inscenizacyjnych, a zwłaszcza możliwości skrótów, które reżyser może doskonale przeprowadzić w poszczególnych aktach „Drogi do świtu" (wyrzucając np. z aktu pierwszego scenę z dwiema „damami" itp.) nie uszczuplając bynajmniej zasadniczej wartości i dramatyczności utworu, a pozwalając odegrać całą sztukę zespołom mniejszym albo słabiej przygotowanym.

Co więcej — „Droga do świtu" posiada swoistą wartość dla wszystkich teatrów ochotniczych jako sztuka, w której przecież połowa obsady złożona jest z małych chłopców! W teatrze zawodowym może to rozbić jednolitość sztuki (jeśli reżyser powierzy role chłopcom-ochotnikom, których gra może niekorzystnie odbijać od gry aktorów zawodowych), albo osłabić jej realizm (jeśli role chłopców zostaną powierzone dorosłym aktorom); w teatrze ochotniczym aktorzy-chłopcy i aktorzy-dorośli będą grali na tym samym mniejwięcej poziomie, a sztuka zachowa przynajmniej swoją jednolitość i autentyczność. Zupełnie specjalne znaczenie ma to jeszcze dla każdego teatru

szkolnego, w którym uczniowie mogliby grać role chłopców, a nauczyciele — dorosłych!

* * *

„Droga do świtu" powstała na przełomie 1944 roku, w Proszowicach (pow. miechowski), w prowizorycznym szpitaliku, w którym przez sześć miesięcy przebywał Bohdan Pepłowski, po opuszczeniu spalonej Warszawy.

Tam właśnie, wyniszczony gorączką i codzienną walką o życie (Pepłowski nabawił się podczas okupacji gruźlicy i z Warszawy został wywieziony prawie w agonii), pisał tę sztukę o bohaterstwie dzieci warszawskich, o podłości wojny i o szlachetności człowieka. A choć sam nosił jeszcze pod powiekami pamięć okropnej nocy okupacyjnej, wieścił jednak żyjącym nadejście innej epoki, kiedy to „z gruzów wyrosną nowe miasta i na rolach, pokąsanych pociskami, wykłoszą się nowe zboża", a człowiek stanie „w słońcu, w wolności, w miłości i szacunku ludzkim".

„Droga do świtu" — jak zwierzał się małżonce — spełniała jeszcze rolę symbolicznych kwiatów: „kwiatów dla dzieci walczących o miasto moje — miasto, które wyrośnie z popiołów, poczęte od dziwnych rodziców: ognia i wiary . . ."

Nie był to zresztą jego pierwszy utwór literacki.

Pepłowski, urodzony we wsi Maleszowa (w Kieleckim), 8 sierpnia 1898 r., a wychowany i wykształcony w Warszawie, gdzie skończył gimnazjum Konopczyńskiego i gdzie rozpoczął studia uniwersyteckie (kontynuowane potem w Krakowie), debiutował jako poeta około roku 1918.

Przełomowe lata wojenne, dłuższy pobyt na froncie, a potem codzienna i męcząca walka o egzystencję oddaliły młodego poetę od literatury i skierowały jego zainteresowania ku innym dziedzinom twórczości.

Dopiero w roku 1935, namówiony przez zespół „Reduty", pisze Pepłowski swój pierwszy utwór dramatyczny: „Cud na Powiślu", sztukę dla dzieci, wystawioną wkrótce potem (1936-1937) w teatrach warszawskich („Instytut Reduty" i „Ateneum") i łódzkich („Teatr Miejski").

W 1938 powstaje inna sztuka dla dzieci: „Boże Narodzenie" (grana przez „Redutę" w Warszawie) oraz sceniczna adaptacja „Konrada Wallenroda", w 1939 — adaptacja sceniczna „Napoleona z Nottinghill" Chestertona (wystawieniu jej w Wilnie przeszkodził wybuch wojny światowej), w 1945 — „Droga do świtu", w 1946 — „Wyrok", sztuka

w trzech aktach o tematyce konspiracyjnej (w 1946 grana w Gdyni, w 1948 — w Białymstoku, Chełmie i Jeleniej Górze), wreszcie w 1947 — „Talizman“, żart sceniczny w pięciu obrazach.

Na marginesie twórczości dramatycznej powstają jeszcze trzy scenariusze filmowe: do filmu „Inż. Szeruda“, wg powieści Morcinka (film ten został całkowicie nakręcony przed wojną), do filmu „Hania“, wg noweli Sienkiewicza (film przerwany na plenerach w 1939 r.) oraz oryginalny scenariusz „Westerplatte“, napisany na zamówienie anonimowej osoby podczas okupacji.

Pomimo tej obfitej twórczości dramatycznej, Pepłowski nie czuł się urodzonym dramaturgiem i uważał, że mógłby się całkowicie wypowiedzieć jedynie w prozie powieściowej. Rozpoczął w tej dziedzinie od nowelek („Dno bez piasku“, „Trzydziesty kosz“ i wiele in. rozproszonych po czasopismach codziennych), po których przyszła dopiero kolej na większe kompozycje: najpierw na powieść awanturniczą „Droga z Chin“, potem zaś na szeroko zakrojony obraz obyczajowy „Całun“, napisany w r. 1939, a wydrukowany dopiero w 1947.

Przy pracy nad drugą obszerną powieścią, która razem z „Całunem“ miała dać pełny obraz rzeczywistości przeżytej przez Pepłowskiego i przetworzonej w artystyczny dokument literacki, zaskoczyła go śmierć.

Umarł w Otwocku koło Warszawy, 29 lutego 1948 r.

Juliusz W. Gomulicki

OSOBY

JANEK	lat 14
MANIEK	lat 13
FRANEK	lat 14
KACPER	lat 12
WAWRZON	lat 14
FLOREK	lat 8
REDAKTOR	lat 33
GRABEK	lat 26
BUJAKOWSKA	lat 43
LEKARZ	lat 45
KAPITAN	lat 38
MARA	lat 20
NIEMIEC	lat 47
PRZEKUPIEŃ	lat 46
DAMA I	lat 30
DAMA II	lat 31
PANI Z OKNA	lat 42
DZIEWCZYNA	lat 22
SĄSIADKA	lat 34
PAN Z WARECKIEJ	lat 41

Przechodnie, żołnierze niemieccy, powstańcy, „złota młodzież".

Rzecz dzieje się w Warszawie, latem 1944 roku.

AKT I

Lato 1944 r. Ulica warszawska. Chodnik i część jezdni. W głębi dwie kamienice zamykają tylną kulisę. Jedna zburzona. Mur wyszczerbiony od kul, okna zamurowane. Na murze, na wysokości człowieka, czarna kotwica namalowana smołą, emblemat „Polski Walczącej". Przyległy dom nienaruszony. Na wysokim parterze otwarte okno, w oknie firanki. Przy samej lewej kulisie — drzewko uliczne. Pod zburzonym murem siedzi przykucnięty chłopiec (Janek). Twarz ukryta w dłoniach, głowa schylona. Z otwartego okna słychać muzykę. Ktoś gra wprawnie Chopina. Po chwili wchodzą Kacper i Franek w znoszonych odziankach płóciennych, ale czyści i domyci. Kacper jest gruby, na pozór trochę zaspany, dobroduszny. Franek — szczupły, suchy, o zwinnych kocich ruchach.

SCENA I

Janek, później Kacper i Franek z mandoliną. Podchodzą do Janka i stoją nad nim chwilę. Janek nie widzi ich. Muzyka przestaje grać.

FRANEK Majster śpią?

JANEK *(podnosi głowę)* Gdzie was grzesi noszą? Ludzi szło jak na odpust, a was nie ma... Komu teraz będziesz śpiewał, baranie?

FRANEK *(wskazuje brodą)* A tym z piętrów... Jak Kacper dobrze zakalikuje to i z góry rzucą... *(pochyla się nad Jankiem)* Ty nie warcz. Musowo było... Na Mariensztacie — wsypa.

JANEK *(podrywa się)* Co gadasz?

FRANEK Prawdę...

JANEK Redaktor?

FRANEK Zwiał do nas na kolonię... Trzeba go było zadekować i przez to spóźniliśmy się... Brodacz leży.

JANEK Co z nim?

FRANEK Na Pawiaku.*)

JANEK Za anioła-stróża poszedł kto?

FRANEK Maniek. Ma dawać pozór na wszystko. Powinien być niedługo. Wieczorkiem trza znieść bibułę ze składziku, bo kto wie, czy Brodacz nie zaśpiewa.

Ulicą przechodzi parę osób: jakaś kobieta, dwóch robotników, dwóch Niemców w mundurach.

JANEK *(zamyślony)* Takie sprawy... Stara ma co do żarcia?

KACPER Słabo... Redaktor zwiał jak stał... Florek bredzi, gorąc idzie od niego jak z pieca.

FRANEK Wszystko na nas patrzy...

Znowu przechodzeń.

JANEK No, to za robotę, chłopcy... Jadziem: „szesnaście ma lat".

Kacper brzęknął na mandolinie. Z lewej kulisy wyjeżdża wózek przekupnia owoców. Staje na jezdni przed widownią. Przekupień opuszcza dyszle i wyjmuje wagę.

---

*) Pawiak — słynne więzienie warszawskie (nazwane od ulicy Pawiej), w którym Niemcy zamykali przestępców politycznych.

SCENA II

Janek, Franek, Kacper, Przekupień.

KACPER A niech to piorun...

JANEK Nie szkodzi, nagna nam frajerów.

PRZEKUPIEŃ *(zachrypłym, pijackim głosem)* Do wiśni! Do jagód! Do malin!... Brać, wybrać!... Duże jak róże, czerwone — niesłone, dwa kilo za kilo, bo wagi się nie mylą... Brać, wybrać!...

Kilku przechodniów zatrzymuje się. Ruch sprzedażny. Grupka.

PRZECHODZIEŃ I Po czemu to?

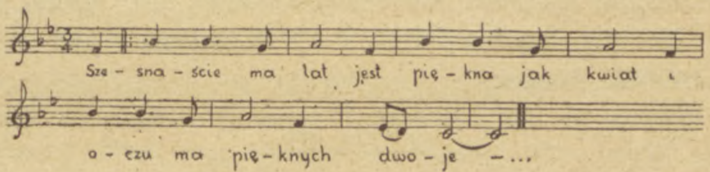
PRZEKUPIEŃ Za jedne dwadzieścia złotych rodzina zbawiona i cieszy się żona.

KOBIETA Proszę pół kilo wiśni...

PRZECHODZIEŃ II Kilo malin.

Koło wózka tłok. Przy sprzedaży powtarza się gra na fortepianie. Chłopcy przygotowali się tymczasem i zaczynają piosenkę uliczną.

CHÓR CHŁOPCÓW *(z mandolinami)*



Szesnaście ma lat
Jest piękna jak kwiat
I oczu ma pięknych dwoje.

Po prześpiewaniu refrenu, Janek wyjmuje organki, Kacper okarynę. Ludzie przez ten czas słuchają; ktoś stoi zajadając wiśnie, inny oparł się o drzewko. Chłopcy powtarzają refren

„orkiestrą". Podoba się to, datki sypią się gęsto. Zbiera je Franek. Po zakończeniu piosenki znowu odzywa się:

PRZEKUPIEŃ Brać, wybrać! Towar bez pestek ważony — ceny z muzyką liczone! Brać, wybrać!

Chłopcy zaczynają śpiewać teraz popularną piosenkę wojskową „Serce w plecaku". Żywy jej rytm sklania niektórych słuchaczy do „pomagania" śpiewakom kiwaniem głowy, albo przytupywaniem. Z chwilą kiedy chłopcy dochodzą do strofki:

Żołnierz poszedł na wojenkę
Poprzez sine lasy, pola
I ze śmiercią szedł pod rękę
Bo taka żołnierska dola*)

Refren zaczynają grać od razu „orkiestrą". Przez rytm marszowy refrenu słychać zrazu słabo, potem coraz mocniej, nadlatujący gdzieś z dali miarowy krok żołnierzy. „Wynika" on jakby z przytupywań do taktu itd. Chłopcy grają coraz ciszej, ludzie się zasłuchali i nad sceną panuje jakiś czas ten marsz widmowych wojsk... Nagle, zza lewej kulisy, słychać wysoki, chłopięcy sopran: Nowy Kije Warszaoooooo!... Warszawski Nowy Kurier! Ludzie ocknęli się. Do czapki Franka znowu sypią się datki. Przechodnie ruszają dalej, scena pustoszeje. Janek wybiega w kierunku lewej kulisy.

JANEK Maniek!

SCENA III

Janek, Kacper, Franek, Maniek, Przekupień.

JANEK Maniek!

MANIEK *(za sceną, bardzo blisko)* Nowy Kije Warszaoooo...

———————

*) Melodia i słowa w „Spiewniku żołnierskim" Sielskiego, Wyd. Gł. Księg. Wojsk. r. 1946.

Wybiega z lewej kulisy tak, że biegnący naprzeciw niemu Janek o mały włos się z nim nie zderzył. Chłopcy spotykają się przy samej rampie, po lewej stronie sceny. Podczas ich dialogu Franek liczy kasę. Kacper podsuwa się do wózka, patrząc łakomie na owoce. Przekupień łypie na niego co jakiś czas podejrzliwie okiem. Gra niema. Tymczasem:

JANEK No?

MANIEK Źle... Brodacz na Pawiaku.

JANEK Wiem.

MANIEK Jutro o dwunastej w południe będzie przesłuchiwany w Gestapo na Szucha. Czy składzik pusty?

JANEK Nie jeszcze.

MANIEK Trza usunąć wszystko zaraz. Brodacz może lignąć. Mocarz nie jest.

JANEK Kto wpadł jeszcze z redakcji?

MANIEK Na żywca już nikt. W drukarni zabity Ptaszyński... Stary Wachniak także... Nie dali się wziąć.

JANEK Szkoda starego...

MANIEK No — zawsze nie darmo trzech szkopów położyli. Redaktor na kolonii?

JANEK Tak...

MANIEK Zadekowany?

JANEK Na stryszku...

MANIEK Niech nosa nie pokazuje. Wiedzą o nim — wsio. Mają i nazwisko i życiorys i mordorys, no — wszystko. Szpikom rozdali jego fotografie: biegają po mieście jak psy... Powiedz mu to.

JANEK Dobra. Co jeszcze?

MANIEK Zamówiłem doktora do Florka, na piątą.

JANEK Zwariowałeś?

MANIEK A co? Ma zdychać? Chłopak bredzi.

JANEK Ale kto będzie płacił?

MANIEK Ty.

JANEK A cóż ja jestem u choroby, foks?*)

MANIEK Twoja głowa. Jak się złapie łączność z naszymi, redaktor nas poratuje. Tymczasem kręć jak możesz... *(podaje mu papierek)* Masz tu sto zet.

JANEK *(skwapliwie)* Dawaj!...

MANIEK No, trzym się, chłopie! Ja wieczorem nie przyjdę, bom im się dużo kręcił na oczach. Węszą...

JANEK Iiiiii... Mieli by kogo! Od czegóż nosisz pod pachą tę szmatę? Przecie jesteś ich szwabska sługa, ich gazety sprzedajesz.

MANIEK Oho, znają się już na nas. Za ośmioletnim szczeniakiem potrafią szpika puścić. No, serwus!

Wybiega z krzykiem w kulisę. Janek wraca powoli pod mur.

SCENA IV

Ci sami — oprócz Mańka. Janek przechodzi obok przekupnia, który poskładał wagi i kiwa się niepokojąco.

PRZEKUPIEŃ Jak ci idzie szczeniaku?

JANEK Nieźle, panie pe.

PRZEKUPIEŃ Jakie pe? Dlaczego pe?

JANEK Boś pan pijak...

PRZEKUPIEŃ Nauczę ja cię pijaka, śmierdzielu!

Rzuca się za nim, Janek ucieka w prawą kulisę, wybiegają obaj.

SCENA V

Kacper, Franek.

KACPER *(biegnie w kierunku wózka)* Do wiśni! Do jagód! Do malin! Brać, wybrać!

---

*) Foks — warszawska gwarowa nazwa „volksdeutscha".

FRANEK Stój! Stój, mówię ci, baranie!

KACPER *(zatrzymuje się)* A bo co?

FRANEK Ty, jak żarcie zobaczysz — tobyś babkę zarżnął. Co u choroby, kraść będziesz? Wiśni nie jadłeś?

KACPER *(stoi niezdecydowany)* A nie jadłem... Kiedy miałem jeść? Przed wojną mortus, teraz mortus... Tak naprawdę, to ja jeszcze nigdy nie najadłem się porządnie...

FRANEK No, jakbyś ty zaczął jeść, to by dla reszty generalnej guberni na kartki nie wystarczyło. Ale poczekaj... Może cię Frank zaprosi na Wawel... On tam wsuwa jak się patrzy...

KACPER *(wzdycha)* Oj, wsuwa...

FRANEK Tylko widzisz, skoro on już kradnie za nas wszystkich, to ty daj spokój. Dawniej nie miałem do złodziei żadnej pretensji... Takie same ludzie jak i my. Ale teraz, co spotkam szkopa, myślę — złodziej. Nie wypada już Polakowi być z tego fachu...

Spoza prawej kulisy słychać wrzask: „Mój towar! Złodzieje!"

SCENA VI

Kacper, Janek, Przekupień.

PRZEKUPIEŃ *(wpada z krzykiem)* Mój towar! Zmówiły się złodzieje! *(potyka się o dyszel i przewraca).*

FRANEK *(staje nad gramolącym się pijakiem)* Szkoda zdrowia, panie pe...

PRZEKUPIEŃ *(groźnie)* Co panie pe? *(wstaje).*

FRANEK Panie... przekupień. Źle panu jeszcze?

PRZEKUPIEŃ *(chwieje się)* A tak... przekupień, czyli handlujący jezdem... Moje prawo sprzedać, zarobić i wypić za swoje... za swoje. A reszta czy on tam Polak, czy Niemiec — wsio ryba. Mądry człowiek z każdym da rady...

można żyć i z Niemcami... że czasem krzyknie, zamierzy się...

FRANEK *(tym samym tonem)* W gębę napluje, obcasami skopie...

PRZEKUPIEŃ Ale zarobić da... Grunt swojego patrzeć, swoje robić i starszych szanować... Ten wasz szczeniak marnie skończy...

FRANEK Chyba nie tak marnie jak pan.

Kacper od dłuższego czasu manipuluje coś na boku. Potem podchodzi z tyłu do przekupnia i coś znowu majstruje.

PRZEKUPIEŃ *(podnosi dyszle)* Moralności w narodzie nie ma... Ale Niemiec wyuczy posłuchu... Ho, ho... No, jadziem!

Popycha wózek, zatacza się lekko i w tym ruchu odwraca się tyłem do widowni. Na plecach zwisa mu przypięty przez Kacpra duży strzęp papieru z napisem: „Śfinia". Wyjeżdża na lewo.

SCENA VII

Franek, Kacper, później Janek.

KACPER Dałem mu szyld na jego sklepik... Widziałeś?

FRANEK Ee... ten to już nic... Grat, szmelc, stary śmirek. Ale zobacz no tych... *(wskazuje).*

Z lewej kulisy wychodzą, swoistego wojennego typu dwaj młodzieńcy i panna. Bardzo szykowni. Przechodzą przez widownię i nikną w prawej kulisie.

FRANEK Im także... wsio ryba.

Z prawej wchodzi Janek z paczką w ręku.

KACPER Chodź, chodź, już pojechał.

JANEK Iiii... A cóż on mnie? Po żarcie byłem, bo i czas. Siadać!

Chłopcy zasiadają pod murem i dzielą między siebie jedzenie: chleb i ser.

FRANEK *(z pełnymi ustami, marząco)* Powiedz Kacperku, co byś tyż dał za to, żeby tu, na tym drzewku wisiał... Hitler?

KACPER Cały majątek oddam.

FRANEK E, nie bądź mądry. Ja mówię tak: przysięgnij, że do śmierci nie powąchasz żadnego wyrobu masarskiego.

KACPER *(wolno)* Kiełbasy?

FRANEK Nie wolno!

KACPER Ani zwykłej, ani serdelowej?

FRANEK Ani serdelowej.

KACPER *(po namyśle)* A... salcesonu? *(Janek śmieje się).*

FRANEK Mowy nie ma! Po co się upierasz? Powiedziałem: nie.

KACPER *(na twarzy poważny, rozpaczliwy namysł. Przestał jeść. Wreszcie, z nagłą decyzją)* Trudno — niech będzie! Wieszaj go!

JANEK *(śmieje się)* Daj mu zjeść. Hitler nie ucieknie. Tak, czy tak będzie wisieć. A ja wam powiem, że niech mu tam łeb urżną albo i powieszą, ale tu, na tym drzewku nie chcę go widzieć... Po co drzewko paskudzić?

FRANEK No, toś już bracie zalał.

JANEK Wcale nie. Po pierwsze myślę, że lepiej byłoby go jakiś czas potrzymać gdzie w klatce, żeby sobie zobaczył, jak to wygląda jego Deutschland po tej awanturze.

KACPER Racja. I do żarcia samą brukiew...

JANEK ...a po drugie... Ty, Kacper, na przykład lubisz kiełbasę?

KACPER No, ba!

JANEK A świnię byś lubił zarżnąć?

KACPER No... nie.

JANEK Tak i z nim. Niech go tam zarżną byle prędzej...

SCENA VIII

Ciż sami i Wawrzon. Podczas ostatnich słów dialogu Wawrzon wychodzi z lewej i stoi chwilę pod drzewkiem; potem wolno podchodzi do posilających się chłopców. Wygląda egzotycznie. Jest to chłopiec w wieku tym samym co pozostali, ale nieporównanie więcej wynędzniały i obdarty. Twarz wychudła. Ogorzała cera wieśniaka. Nogi bose, czarne, zdradzające nieobecność butów od bardzo dawna. Z przykrótkich rękawów spencerka wyglądają duże, chłopskie dłonie. Idzie z wahaniem, na co wpływa nie tylko nieśmiałość, ale i przestrach jakby szczutego zwierzęcia. Znęcony jadłem, zbliża się jednak i staje w milczeniu.

FRANEK *(patrzy na niego chwilę)* Co ci trzeba, te... elegant?

Wawrzon milczy.

KACPER Kawaler głuchy? Czego ślipie wytrzeszczasz?

WAWRZON *(po chwili)* Jeść...

FRANEK Patrzcie go, jaki bez subiekcji... Jeść i basta. Daj mu, bo on chce.

KACPER My, bracie, też lubimy jeść... Wsparcia udzielamy w piątki. Idź do cioci, czeka na ciebie.

WAWRZON *(głucho)* Jo by poszedł... Ino ni mom kaj...

FRANEK A to opera! „Kaj" nie ma? Po jakiemu to?

JANEK Czekajcie-no. Skąd ty jesteś?

WAWRZON Z Myślenic, kole Radomia...

FRANEK I po coś tu, ciemna maso, przylazł? Na giełdzie będziesz grał? Bo wyścigów nie ma.

Wawrzon milczy.

KACPER No?

WAWRZON *(ze łzami w głosie)* Jo nikaj nie przylaz... Wiezły me i jo... ucikł.

JANEK Kto i gdzie cię wiózł?

WAWRZON Niemiec...

JANEK Na roboty... ciebie... Nie łżyj.

WAWRZON Jo nie wiem. Nas tam było we wagunach parnaście set. Dziecka małe, po dwa, po trzy lata. Najstarsze takie jak jo. Jechaliśmy tu sześć dni... Ani wody, ani... o mój Jezu, o mój Jezu!... *(słania się).*

JANEK Czekaj, siadaj-no i mów porządkiem. Kiedy uciekłeś?

WAWRZON Wczoraj wieczór. Jakieś ludzie wywaliły drzwi od wagonu, bo my byli zamknięte. Kto miał siłe iść, uciekał piechty. Małe dzieci, jakieści kobiety, co przyszły z miasta, brały na ręce. Ale potym zaczęły strzylać...

FRANEK Kto?

WAWRZON Wim jo? Pewno Niemiec. Leżołem w rowie, we wodzie. Noc przesiedziałem na polu, kole jakiegoś domu. Rano wygnały me.

KACPER Kto?

WAWRZON Gospodarze, co tam mieszkały. Bali się Niemców... Wyszedłem na szosę i spotkałem Niemców. Zaląkłem się — ucikem znowu w pole... Potem bez płoty... I tak łażę, ale teraz już ni mom kaj iść.

JANEK Co tam u was było na wsi: ekspedycja karna?

WAWRZON Jo nie wim. Przyjechały Niemce na samochodach, obtoczyły nas ze wsiem i, Jezusie, co się działo!... Jak się chałupy zaczeny palić, a ludzie wzieni uciekać, to ci

po nich i po nich z maszynowego karabina. Resztę nas zegnały pod bór. Tam chłopów wyosobniły, ustawiły pod lasem i strzelały do ostatniego człowieka. Ociec padł, dwóch braci starych. Matkę mi zabrały gdziesi, a nas na samochody... Same dzieci... O, mój Jezu!... Już nie strzymam...

Wstaje i idzie chwiejnie parę kroków; potem wybucha płaczem.

JANEK *(podchodzi do niego i potrząsa za ramię)* Nie płacz, te słyszysz? U nas tu nie moda płakać. *(wskazuje na mur)* Widzisz ten krzyż? Tu, na tym miejscu zastrzelili i mojego ojca... Widziałem wszystko. Stałem tam, na rogu za kordonem żandarmów... Przywieźli ich dwudziestu w budzie i wyprowadzili po jednemu. Usta mieli zalepione gumą, żeby nie mogli plunąć w twarz tym psom... Widziałem. Ojca ciągnęło dwóch, jak worek po ziemi. Nie mógł iść... Wiesz, czemu nie mógł iść? Bo niemieccy doktorzy wypompowali z niego krew, na przechowanie dla swoich rannych... Tak było... Tu, pod tym krzyżem, gdzie padł mój ojciec, śpiewamy teraz piosenki... he, he... wesołe piosenki. Jak myślisz, z ochoty? Patrz na nich *(wskazuje chłopców)* Żaden z nich nie ma już nikogo na świecie. Sami jesteśmy, wolni obywatele... Ale wolni, psia krew! Polski Niepodległej obywatele, rozumiesz? Tak ma być.

FRANEK *(podsuwa mu pajdę chleba ze serem)* No... frygaj!...

WAWRZON *(patrzy, jak zbudzony ze snu, na chleb)* Co... mówicie?

FRANEK Frygaj. Jedz, ofermo, ludzkiego języka nie znająca. Wiesz co znaczy jeść: bierz do gęby i żuj.

Wawrzon rzuca się nagle na chleb i zaczyna go pożerać, łapczywie, jak zwierzę. Po chwili odsuwa się i nie przestając jeść odwraca się do ściany. Chłopcy patrzą po sobie. Chwila.

FRANEK Dały mu szwaby na apetyt...

KACPER Uhum...

Chwila.

JANEK No... i co? Żaden dziobem nie ruszy? Wszystko ja muszę, tak? *(cisza)* Dobrze, więc ja powiem: bierzemy tę pokrakę na kolonię. Co będzie żarł — nie wiem, ale tak go nie można zostawić. To moje zdanie, tylko że ja nie Hitler. Głosujcie! Franek?

FRANEK *(po namyśle)* Cóż? Nie ma rady — zabrać go.

JANEK Kacper? Pamiętaj, brzuch ci spadnie na nic.

KACPER Ja już i tak przecie...

JANEK *(przerywa mu)* Głosuj!

KACPER *(wzdycha)* Zabrać... Nie ma rady...

JANEK Załatwione. Twój głos przeważa, Maniek i Florek muszą już przystać, chcą czy nie. Skocz-no teraz do Milci po wodę, bo się ta nasza znajda zatchnie... Żywo!

Kacper wychodzi.

SCENA IX

Ciż sami, oprócz Kacpra.

JANEK *(do Wawrzka, który kończy swój chleb)* No... pojadłeś?

WAWRZON Trocha...

JANEK Przed wieczorem dostaniesz więcej. Teraz nie można, bo byś się ochwacił. Słuchaj, co ci powiem, będzie tak: pójdziesz z nami na kolonię. Tam nas jest pięciu chłopaków, ty szósty. Co będziesz robił, jeszcze nie wiem.

WAWRZON Wszystko co każecie... panie.

JANEK Głupiś. Na kolonii nie ma panów i nikt ci tam rozkazywać nie będzie. Ale pracować musisz, bo żarcia nie ma darmo, nawet na kolonii. Zobaczymy do czego się nadasz... Czytać umiesz?

WAWRZON Umiem — ino... aby było wyraźnie.

JANEK Będzie wyraźnie. Jak odczytasz firmę na szyldzie, numer w bramie i nazwisko na spisie lokatorów, to masz wszystko, co trzeba.

FRANEK Chcesz go dać do bibuły?

JANEK *(wzrusza ramionami)* Bimbru nie piję przecie, a szampana chwilowo w Warszawie zabrakło... Nie jestem zalany. Będzie odnosił starej obstalunki. Za miesiąc szofery go będą pytać gdzie jaka ulica. Stara go już wyuczy warszawskiej gieografii, nie bój się... *(do Wawrzka)* Tabliczkę mnożenia umiesz?

WAWRZON Adyć... ucyłem się...

JANEK Ile jest pięć razy osiem?

WAWRZON Czterdzieści osiem...

FRANEK *(śmieje się)* Będzie dobry na kelnera.

JANEK Głupstwo. Nauczy się.

FRANEK Skąd mu weźmiesz buty? Zobacz, jakie ma nogi?

JANEK Nie wiem. Ale tak myślę, że w Warszawie znajdzie się jeszcze dla niego para butów.

Z prawej wyjeżdża „ryksza"[1]) i zatrzymuje się na scenie. Wysiadają z niej Dama I i Dama II, dwie wystrojone i rozgadane papugi, z gatunku często spotykanego po całym świecie.

SCENA X

Poprzedni: Dama I, Dama II, później Kacper.

DAMA I *(płaci szoferowi, który odjeżdża na lewo)* No... to do widzenia, droga Maniusiu, dziękuje ci za gawędkę

---

[1]) Ryksza (z japońsk.) — nazwa popularnego w okupowanej Warszawie pojazdu na dwóch kółkach, połączonego z rowerem lub motocyklem.

i muszę uciekać... Moja krawcowa miewa humory... niczym Greta Garbo.

DAMA II Do widzenia, złotko, ja też już nie mam ani chwilki czasu. Co sobie szyjesz?

DAMA I Ach, wyobraź sobie mam takie zmartwienie...

(Wraca Kacper z butelką wody. Podaje ją w głębi Wawrzonowi, który pije łapczywie). Oglądałaś ostatni „Moden-Welt"?

DAMA II Tak, oni mają modele prosto z Paryża.

DAMA I Właśnie. Wyobraź sobie żakiety — wszystko długie. Długie potwornie, prawie na trzy czwarte. Mój wiosenny jest do wyrzucenia. Rozumiesz moje straszne położenie.

DAMA II Rozumiem, kochanie, bo sama cierpię. Chodzę dosłownie bez butów. Nie mam ani jednej pary.

DAMA I E... co też ty mówisz? A te cudne jaszczurki, coś w nich była „Pod Kasztanem"?

DAMA II Palą mi nogi żywym ogniem... To zimówki.

DAMA I A zamszowe? A te z klapkami? A koturny cośmy się o nie trochę pokłóciły, pamiętasz? Nie chciałaś powiedzieć, kto ci robił.

DAMA II No, przecież idzie jesień... Nie mogę okrągły rok chodzić w koturnach. Nie, nie sprzeczaj się ze mną, droga, jestem bosa... I co gorsza, w całej Warszawie nie mogę znaleźć jednej głupiej pary butów.

DAMA I Jakże to?

DAMA II Mówię ci, widziałam te buciki w „Die Dame".[2])

DAMA I Ach, jakieś niemieckie...

DAMA II Za kogo mnie masz, moja droga? Nie włożyłabym na siebie za nic na świecie niemieckiego fasonu. Te

---

[2]) „Moden-Welt" („Świat mód"), „Die Dame" (Pani, Dama) — popularne niemieckie pisma dla kobiet (żurnale).

wzięłam z fotografii wyścigów w Longchamps, pod Paryżem. Tam jest jednak życie... Dlaczego na całym świecie można mimo wszystko żyć kulturalnie — tylko u nas nie?... No, ale, żegnaj, droga, bo naprawdę już ani sekundy...

DAMA I Tak, no pa, pa, złotko...

Całują się.

DAMA II Zadzwonisz prawda?

DAMA II Tak, tak, pozdrów twojego pana i władcę, No, jeszcze raz...

Całują się.

DAMA II *(patrzy na zegarek — bransoletkę)* Boże! Już druga! Nie ma mnie. *(Rozchodzą się szybko. Nagle Dama II odwraca się gwałtownie).* Ależ Lalusiu!! Najważniejsza rzecz... Dosłownie sekundka.

DAMA I *(wraca na środek sceny)* Co się stało?

DAMA II Musisz obiecać, że zrobisz to dla mnie...

DAMA I Ale co?

DAMA II Ty wiesz, że na mnie zawsze możesz liczyć, że ja nigdy... No, powiedz sama, czyś miała kiedy taką przyjaciółkę, jak ja?

DAMA I *(gorąco)* Nigdy, przenigdy...

Całują się.

DAMA II No więc obiecujesz?

DAMA I Ale o co chodzi, najdroższa?

DAMA II O wszystko... O całą moją przyszłość... Więcej, o naszą przyszłość: Stasia i moją. Ty wiesz, kto ma być u nas jutro?

DAMA I Wiem, no mów już...

DAMA II Więc słuchaj: powiedz mi, co trzeba dodać do twojego tortu migdałowego, żeby się nie rozlatywał?

DAMA I Ach, to... Ale jakże? Przecież ci dałam pełny przepis, masz tam wszystko, zupełnie wszystko.

DAMA II *(z bolesną ironią)* Wszystko?

DAMA I *(poważnie)* Moja Manieczko, nie przypuszczasz chyba, że ja...

DAMA II *(z gorzką ironią)* O, nie... Ja nic nie przypuszczam. Nie przypuszczam, ale jestem pewna już teraz, żem się na tobie bardzo pomyliła... Taka przyjaźń...

DAMA I O przepraszam... Tylko ty już lepiej nic nie mów o przyjaźni... Pominąwszy twoje niedołężne próby flirtu z Włodziem...

DAMA II *(przerywa)* Co?! Niedołężne próby! Ha, ha, ha... Doprawdy, jesteś tak śmieszna, że się po prostu płakać chce. Innym razem powiem ci coś o twoim Włodziu...

DAMA I Długo poczekasz na ten „inny raz". Skończyły się nasze rozmowy... Żegnam!

DAMA II Bądź pewna, że to przeżyję... Żegnam!

Damy zirytowane, rozchodzą się szybko i znikają.

SCENA XI

Ciż sami, oprócz dam.

FRANEK *(śmieje się)* No, widzisz! Koło tamtej klępy śmierdziało forsą na milę i to nie mogła znaleźć pary butów... A ty chcesz dla Wawrzka... Ech, naszemu bratu to tam łatwiej o parę... batów. Każdy chętnie da... Gestapo i Szupo i Kripo i SS i SA i nasza polska glina...

JANEK Przyjdzie i nasz czas...

FRANEK Będziemy bili?

JANEK To — nieważne. Ale przyjdzie nasz czas, że nikt nikogo bić nie będzie. To ci mówię.

FRANEK A ja ci wierzę. Nawet krowy zaczną gotowe sznycle rodzić, żebyś im cieląt nie zabijał... Ty, Janek, jesteś morus chłop, ale w tobie złości nie ma. To źle. Ja tam chcę bić sam, walić ile siły w grabach...

JANEK I długo tak będziesz walił?

FRANEK Aż będzie dobrze na świecie.

JANEK A później?...

FRANEK No cóż?... Później mogę zdechnąć.

JANEK Ale jak nie zdechniesz, to się okaże, żeś na świecie bezrobotny... Boś się tylko na to bicie naszykował. O to mi idzie, nie o złość czy dobroć. Bij, kiedy trzeba, ale pamiętaj, że to mus, nie frajda.

SCENA XII

Ciż sami — dziewczyna. Znowu wjeżdża ryksza. Wysiada z niej młoda dziewczyna, ubrana prawie równie elegancko jak poprzednie damy. Prędko, nerwowo płaci. Wystawia z rykszy dwie walizki, pod pachę wciska wypchaną torbę skórzaną. Ryksza odjeżdża.

DZIEWCZYNA *(z torbą pod pachą schyla się po walizki, torba wysuwa się na chodnik, otwiera się i wysypują się z niej brauningi):* Ach!...

JANEK *(podbiega błyskawicznie, razem z Frankiem i Kacprem, osłaniając od strony chodnika rozrzuconą broń).* Niech pani stoi spokojnie!

Para zagadanych przechodniów mija scenę. Śmieją się. Po ich przejściu chłopcy wrzucają broń do torby. Janek podaje torbę dziewczynie i bierze za walizki.

JANEK Gdzie to nieść?

DZIEWCZYNA *(oddycha głęboko)* Dziękuję... Ja...

JANEK Pytam się, gdzie to nieść? Niechże pani idzie naprzód. Mało pani?

DZIEWCZYNA *(rusza naprzód)* Tu obok... Dziękuję.

SCENA XIII

Kacper, Franek, Wawrzon.

FRANEK *(gwiżdże rozglądając się nieznacznie dookoła)* No... zdaje się — klawo *(patrzy w lewą kulisę)* Głupia... Chciała wejść... Ale Janek nie frajer, idą dalej. Trza za nimi skoczyć. Ty tu czekaj. Jak bym długo nie wracał, bierz tego chłopa i szoruj na kolonię. Tam przyjdę... *(wychodzi).*

SCENA XIV

Kacper, Wawrzon.

KACPER *(podchodzi do siedzącego pod murem Wawrzka)* No, tośmy, panie dziedzicu, zostali sami na gospodarstwie. Jakże tam u pana na folwarku? Obrodziło?

Wawrzon milczy.

KACPER *(pojednawczo)* Ty się, bracie, nie krzyw, bo nie masz o co. My tu swoi ludzie. Ty już też jesteś nasz, członek kolonii, głosowaniem przyjęty... To nie żarty. U nas żadnych gniewów nie ma, przez złość nic się nie mówi, a pośmiać się czasem trzeba... To zdrowo. Ileż masz lat?

WAWRZON Czternasty. We wrześniu skończę .

KACPER Toś starszy ode mnie. Ale biedy toś tyle nie miał, co ja.

WAWRZON Oho, wim jo, co bida. My som takie, że mamy niedużo gruntu...

KACPER Małorolni?

WAWRZON O, to samo! małorolni. Ociec mieli trzy morgi. Krowa do tego jedna...

KACPER No, widzisz... Mieliście mleko, ser, pewno jaja...

WAWRZON I... Cóż to za mowa wasza? Mliko, jaja były na sprzedaż. A tak to zimniaki i barszcz...

KACPER No — we wojnę! Ale przed wojną?

WAWRZON O, to już było całkiem źle. Okrasy — ani, ani. Nawet sól tylko, aby źdźiebko do zimniaków. Przed wojną to ojciec się czasem tak zatrapił, że tych dwóch starszych, co teraz Niemce zabiły, to bił; nie bez złość, a z turbacji. Uciekać trza było przed nim... No, jo byłem mały... Matula bronili. Ociec nie był przecie zły... Tylko rady nie mógł dać nijak.

KACPER Ja tam wcale ojca nie miałem...

WAWRZON Jakże to? Pomarli?

KACPER Ech, pomarli... Licho go wie. Nie miałem i już. Rozumiesz?

WAWRZON Dyć tak; matka twoja panieńskiego stanu?

KACPER Aha. Czworo nas miała...

WAWRZON Wiem... Trafia się i na wsi. No to i tobie nie słodko na świecie...

KACPER No, widzisz.

WAWRZON *(po chwili)* To ci rzekę, że mi raźniej, jak tak gadasz... Bo samemu na obcym miejscu być straszno. Myślałem; możeś ty jaki pan?

KACPER *(śmieje się)* I skąd ci to do łba przyszło?

WAWRZON Grubyś... Buty masz galante...

KACPER Oj, głupi ty, Wawrzon, głupi. Czemu ty taki głupi?

WAWRZON A z czego mam być mądry? Z tego krowy pasenia na rowie? Na wsi dobrze żyć, ale kto ma grunt, gospodarkę jak się patrzy, temu i we szkole i w kościele miejsce. A kto ma mało, albo i całkiem komornik, to... oho...

Wchodzą Janek i Franek.

SCENA XV

Janek, Franek, Kacper, Wawrzon.

JANEK No... załatwione... Jak z kasą, Franek?

FRANEK Siedemdziesiąt...

JANEK Hm... do chrzanu. Tu już chyba nie warto gardła drzeć. *(namyśla się)* Tak zrobimy: Kacper z mandoliną dymaj na Solec... Wiesz? Koło szpitala Chorej Kasy. Tam dwójka stoi trzy minuty, konduktorzy zmieniają się. Grosz jest pewny, tylko walić cały czas „szesnaście lat" a na bis „My młodzi — nam bimber nie zaszkodzi". Franek weźmiesz tego *(wskazuje Wawrzka)* i marsz do domu. Masz tu jeszcze pięćdziesiąt zet. Daj to starej, niech sobie radzi. Ja wstąpię jeszcze w jedno miejsce.

FRANEK *(patrzy na niego chwilę)* Tam?...

JANEK No.

FRANEK Duże ryzyko. Rzuć to...

JANEK A forsę lubisz?

FRANEK Diabła tam lubię! Niech ją diabli wezmą. Zresztą, gruby zarobi na Solcu musowo.

JANEK Maniek obstalował dla Florka doktora.

Franek gwizdnął.

JANEK Myślę, że najmarniej stówa poleci...

KACPER Są tacy, że i górala im mało.

Za sceną słychać śpiew i kroki. Pieśń jest niemiecka.

JANEK Taki się na Mańka obstalunek nie złaszczy.

Pieśń wyraźniej, ciężki krok bliżej.

WAWRZON *(cicho)* O Jezu... Niemce...

FRANEK Co?

WAWRZON Niemce, Niemce idą... Obtoczą... Uciekajmy!...

JANEK Stój spokojnie... Inaczej oni tu polują. Tych ryczywołów nie trza się bać.

SCENA XVI

Ci sami, kilku przechodniów, pani z okna, Niemcy.

Tuż w kulisie niemiecki śpiew: kroki — taranem. Kilku przechodniów zatrzymuje się na brzegu chodnika i patrzy w kierunku głosu, z ponurą zadumą. W oknie z firanką pojawia się skromnie ubrana kobieta, średnich lat. Patrzy w ulicę, oparta o parapet. Niemcy wkraczają teraz na scenę. Od refrenu ich pieśni bije nieprzytomna buta, dzika wściekłość i triumf miażdżącej wszystko siły. Teatr drży od ryku, scena jęczy pod obuchem żołdackich kutych buciorów. Widzowi powinno narzucić się kontrast z tamtymi krokami z piosenki żołnierza (scena II) co „borem, lasem" biegnie na pomoc ginącemu krajowi. Niemcy przeszli... ciągnie się jeszcze za zimi smuga wojennej pieśni i pogłos marszu. Pomału cichnie. Kobieta odchodzi od okna; przechodnie, pochylając głowy, ruszyli zamyślonymi krokami. Zamiera w oddali pieśń niemiecka. Chłopcy stoją w milczeniu.

FRANEK *(z zamyślenia)* Tak... To jeszcze siła, psia krew!

JANEK Nie! już tylko ryk. A w tym ryku — strach. Ej chłopcy! Nie dajmy sobie szkopom zabrać chleba... Śpiewać — to przecie nasz fach wojenny. Zaśpiewajmy im... Razem, chłopcy. Po naszemu...

SCENA XVII

Chłopcy, tłum, głowy w oknach, fortepian.

CHÓR CHŁOPCÓW:

Oto dziś dzień krwi i chwały,
Oby dniem wskrzeszenia był
W gwiazdę Polski Orzeł Biały,
Patrząc lot swój w niebo wzbił.

Rewolucyjna pieśń dzwoni w chłopięcych gardziołkach. Na chwilę pojawia się znowu w oknie z firanką kobieta. Niknie w głębi i mocne, pełne akordy fortepianu łączą się z dzwonkiem głosów dziecinnych. Kilku przechodniów przystaje z boku.

I nadzieją podniecany
Woła na nas z górnych stron
Powstań Polsko! Skrusz kajdany!
Dziś twój triumf — albo zgon.

Coraz więcej gromadzą się ludzie. Na górnych piętrach niezburzonej kamienicy otwierają się okna.

Hej, kto Polak, na bagnety!
Żyj swobodo, Polsko żyj!
Takim hasłem cnej podniety
Trąbo nasza wrogom grzmij!

Ludzi ciągle przybywa. Niektórzy nieśmiało wtórują pieśni. Pieśń przebiega między tłumem jak wieść podawana z ust do ust.

Droga Polsko, dzieci twoje
Dziś szczęśliwych doszły chwil,
Od tych sławnych, gdy ich boje
Wieńczył Kremlin, Tybr i Nil.

Pieśń płynie potężnie nad widownią. Biegnie z ulic, domów, ruin.

Leć nasz Orle, w górnym pędzie,
Sławie, Polsce, światu służ!
Kto przeżyje, wolnym będzie,
Kto umiera wolnym już!
Hej, kto Polak itd.

Na ostatnim refrenie kurtyna idzie zwolna na dół.

AKT II

„Kolonia" chłopców. Jest to właściwie duża izba na poddaszu zastawiona ubogimi sprzętami. Trzy łóżka, tapczan, kanapa pluszowa. Stół, kilka krzeseł. Na ścianie przeciwległej widowni: dwa duże okna w wykuszach. Przez okna widać dachy miasta. Na prawej ścianie bocznej: szafa, w głębi piec kuchenny z rozwieszonymi nad nim garnkami. Na lewej ścianie: drzwi wejściowe, wprost ze schodów. Pomiędzy oknami stoi kilka płócien malarskich nieoprawnych, opartych o ścianę. Pod lewym oknem: sztalugi, garnek z pędzlami, szmatki i inne „obrady" malarza. Na stołku obok — rzucona paleta. Przed sztalugami siedzi Grabek z pędzlem w ręku i pracuje nad płótnem zwróconym tyłem do widza. Przy stole nad rozłożonym kajetem siedzi Wawrzon, obok niego stoi Janek. Na łóżku, w głębi, drzemie odwrócony do ściany chory Florek.

SCENA I

Grabek, Janek, Wawrzon i Florek.

JANEK Pięć razy osiem?
WAWRZON Czterdzieści...
JANEK Sześć razy dziewięć?
WAWRZON Eeee... *(namyśla się)*
JANEK No, a sześć razy dziesięć?

WAWRZON Sześćdziesiąt.

JANEK Odejmij teraz od sześćdziesięciu — szóstkę, ile będzie?

WAWRZON Pięćdziesiąt cztery.

JANEK No, więc sześć razy dziewięć?

WAWRZON Eeeeee... pięćdziesiąt cztery.

JANEK Zawsze tak rób z dziesiątką: nie pamiętasz — odejmij od dziesiątki i masz. Kapujesz to?

WAWRZON Tak...

JANEK Osiem razy dziewięć?

WAWRZON (po namyśle) ... Siedemdziesiąt dwa...

JANEK Cztery razy dziewięć?

WAWRZON Trzydzieści sześć...

JANEK No, mniej więcej... Ale powtarzaj sobie ciągle. *(podsuwa mu kajet).* Teraz przepisz no te byki i będzie szabas.

Wawrzon z namaszczeniem gryzmoli w kajecie. Janek podchodzi gwiżdżąc do Grabka i przygląda się chwilę jego pracy.

JANEK To ma być redaktor?

GRABEK *(przy pracy)* Zgadłeś...

JANEK Wcale niepodobny.

GRABEK Więc skąd wiesz, że to on?

JANEK Eeee, bo ma coś takiego, że od razu widać, że to redaktor. Ale przecie on całkiem inaczej wygląda.

GRABEK *(ze złością)* Co za kołtuńskie gadanie! Ile redaktor ma lat?

JANEK Ze trzydzieści.

GRABEK A jak myślisz, około sześćdziesiątki będzie tak samo wyglądał?

JANEK Nie, napewno inaczej.

GRABEK I jak miał dwanaście lat — też tak nie wyglądał. Całkiem nie był podobny, prawda?

JANEK No, tak...

GRABEK Ale to, po czym go poznałeś, miał już wtedy i będzie miał po sześćdziesiątce... Bo to jest ON. A wyglądać może różnie. Jak dostanie dobrze w zęby i spuchnie, to go poznasz nie po rysach, tylko właśnie po tym, co tu jest, na moim portrecie.

JANEK Ale ja chcę wiedzieć jak on teraz wygląda...

GRABEK To poproś go o fotografię. Zawsze ta sama śpiewka z wami: „podobny“ i „jak wygląda“! A mnie diabli do tego! Ja robię swoje. Jeżeli twój redaktor będzie sławnym człowiekiem, to za sto lat ludzie się z jego fotografii dowiedzą co najwyżej, że się czesał z przedziałkiem i pomyślą, że miał głupią minę, bo redaktor ma na fotografiach zawsze głupią minę. Ale jak się zechcą dowiedzieć, co to był za gość — to muszą kupić mój portret. I żebyś wiedział, że wtedy zapłacą za niego grubszą forsę.

JANEK Szkoda, że nie zaraz.

GRABEK A szkoda. Ja bardzo lubię rosół z francuskimi kluskami, ale malować muszę to, co widzę. Nie będę robił „podobnych“ portretów nawet za sztukę mięsa z kwiatkiem, którą wolę jeszcze bardziej od rosołu.

Wchodzi Maniek.

SCENA II

Poprzedni i Maniek.

MANIEK Uszanowanie dla pana Grabka! Serwus Kolonia!

JANEK Serwus!

MANIEK Coś się dzieje na mieście, ale nie mogę zmiarkować, o co idzie. Żandarmy jeżdżą w autobusach po dwadzieścia — trzydzieści sztuk. Spluwy na gotuj broń! Z tyłu armatki na łańcuszkach. Te ich „paki“! Na Nowym Świecie,

co drugi róg — patrol lotników. Od ściany i od jezdni dwoma rzędami obstawione aż głupio przechodzić.

JANEK Może to, co mówili w redakcji...

MANIEK Ech, mówili... Od miesiąca mówią. Swoją drogą łażą chłopcy bezczelnie: „wisy" pod marynarami znać, że ślepy pozna. W bramie na Złotej, u Klapki, widziałem jak oddział fasował cukier. Tylko czujką się ubezpieczyli. Cała eskorta z bronią na wierzchu, aż dziwno patrzeć.

Słychać pukanie w ścianę.

GRABEK Oho, redaktor. Dowiedz no się, Janek, czego mu trzeba.

Janek i Maniek odsuwają jednym bokiem szafę. Janek wchodzi za nią i słychać jego głos.

GŁOS JANKA Słucham...

W odpowiedzi nieokreślony dźwięk męskiego głosu spoza ściany czy drzwi.

GŁOS JANKA Dobrze, zaraz. *(wychodzi zza szafy)*

JANEK Wawrzek, daj no ołówek.

Wawrzon podaje mu i Janek znowu znika za szafą. Słychać stamtąd jakby odsuwanie desek i po chwili wyraźny:

GŁOS REDAKTORA Dziękuję ci. Nie można by wyjść trochę z tego kryminału?

GŁOS JANKA Jak stara wróci, to się pana redaktora wypuści. Teraz mógłby kto zobaczyć. Co pan jeszcze chce?

GŁOS REDAKTORA *(wzdycha)* No... nic. Zmykaj...

Znowu słychać zasuwanie. Wychodzi Janek, przysuwając z Mańkiem szafę na powrót.

JANEK Niecierpliwy... ciągle mu coś daj.

GRABEK *(od sztalug)* Ciężko wysiedzieć w takim kojcu.

JANEK Zawsze lżej jak na Szucha.

MANIEK To prawda.

GRABEK A co do Szucha: czy on tam ma dobry zjazd z tego stryszku?

JANEK Drabina na dach i w trzecim domu melina. Jeżeli zdąży wciągnąć za sobą drabkę i zamknąć klapę — to pies z kulawą nogą nie będzie wiedział, że tam ktoś był. Ale on nie zdąży.

GRABEK Czemu to?

JANEK Bo jak go zajdą niespodziewanie, to nie ma sposobu dać znać. Pierońsko źle tam słychać. Trzeba pukać w ścianę albo drzeć się na całe gardło. *(do Wawrzka)* Skończyłeś już?

WAWRZON Tak.

JANEK No, to bierzem się za kartofle... Trzeba starej trochę pobasować, będzie w lepszym humorze.

Podchodzą do kuchni. Janek rozdaje noże, nalewa wody w garnek i zaczynają obierać kartofle.

JANEK *(do Wawrzka)* Ty się, Wawrzek, nie przejmuj, że stara gadała wczoraj na ciebie. Na każdego nowego musi napyskować, już taka u niej moda. Jak przyprowadziliśmy Florka, to się darła z pół dnią: „Nie będę niańką! Zabierzcie go stąd!" a... i cała opera. A teraz Florek u niej pierwszy.

WAWRZON Źle jest to, że jo nie umiem gadać po waszemu.

MANIEK No to co za zmartwienie?

WAWRZON Każdy me pozna, że jo wiejski i... ocygani.

JANEK Każdy — to znowu nie. Trza się pilnować, ale trza mieć i trochę w ludziach ufności. U was na wsi kto z miasta, to już łobuz albo oszust. A przecie i po wsi nie same anioły chodzą, drani nie brak nigdzie. Trza tylko mieć oczy otwarte i iść do ludzi śmiało, garnąć się do kupy, przy-

jacielstwo okazać. Znajdzie się wtedy więcej dobrych jak złych.

Słychać pukanie. Wchodzi lekarz.

SCENA III

Poprzedni, lekarz.

LEKARZ Dzień dobry... Tu jest ktoś chory... Wzywano mnie wczoraj o piątej, ale przyjść nie mogłem...

JANEK Pan doktór będzie łaskaw... O, ten chłopiec...

LEKARZ *(podchodzi do Florka, bierze go za puls)* Jak długo leży?

JANEK Piąty dzień... Dostał dreszczy i głowa go bolała...

LEKARZ *(puszcza puls)* Tak... Temperatura była mierzona?... Gorączka?

JANEK Trzeciego dnia. Miał 39 i 7, wczoraj 39 i 2, dzisiaj...

LEKARZ Tak... No, zobaczymy. *(bada Florka)* Ile ty masz lat chłopcze?

FLOREK Osiem...

LEKARZ *(zakłada stetoskop*)* Teraz nie oddychaj. *(chwilę słucha, zdejmuje stetoskop i rozgląda się trochę niepewnię; potem do Grabka):* Czy pan opiekuje się tymi chłopcami?

GRABEK *(śmieje się)* O, nie. Ja nawet tu nie mieszkam. Przychodzę na parę godzin malować, bo nie mam gdzie.

LEKARZ Więc... Czy tu nie ma nikogo starszego, czy też starsi przezornie wynieśli się przed moją wizytą, żeby nie płacić?

---

*) Stetoskop — słuchawka lekarska do badania płuc, serca itp.

GRABEK Byłaby to przezorność połączona z natchnieniem, bo skąd ci „starsi" mogli wiedzieć, że pan przyjdzie łaskawie akurat teraz? Zresztą... tu właściwie nie ma starszych. Jest gospodyni pani Bujakowska, ale, jeżeli kto się kim opiekuje, to już prędzej nią, niż odwrotnie.

LEKARZ Hm... Bardzo dzielni chłopcy... Tylko, przepraszam pana, kto karmi to towarzystwo?

GRABEK *(gest)* Ulica...

LEKARZ I wychowuje również?

GRABEK Tak, i wychowuje. Proszę uwierzyć, że nawet wcale nieźle.

LEKARZ Widziałem przed wojną rezultaty tego wychowania. Byłem swego czasu lekarzem w domu poprawczym dla chłopców.

GRABEK Całe szczęście, że tam się zapewne... poprawiali?

LEKARZ Niestety, nie. Ich już nic nie mogło poprawić.

GRABEK Surowy sąd, panie doktorze. Czy doprawdy nic? Czy w domu poprawczym, gdzie pan ordynował, stosowano wszystkie metody dostępne ludzkiemu doświadczeniu?

LEKARZ Stosowano metody wypróbowane od wieków.

GRABEK Tak, i te dawały, oczywiście, zawsze ten sam rezultat. Ale mniejsza o domy poprawcze, nam chodzi o ulicę. Mówi się o niej wiele złego i, oczywiście, nie jest to klasztor. Ale wychowankowie klasztorów mieli swojego czasu też nietęgą opinię... A wiedzieli o życiu znacznie mniej niż tak zwane dziecko ulicy. Bo ono wie wszystko. Dla niego nie ma już, niestety, raju, bo zaraz po wyjściu z kołyski nakarmiono je owocem złego i dobrego. Jemu aniołek nigdy nie przynosił choinki, św. Mikołaj nie kładł upominków do dziurawego buta, a krasnoludki w czerwonych czapeczkach nie mogły siadać na brzegu łóżka, bo go najczęściej nie miało

wcale. Ale za to jak spotkało na ulicy zdychającego z głodu psa, to się z nim prawie napewno podzieliło skórką chleba, bo wie, co to głód. Ulica ma wiele ciężkich grzechów, ale i jedną wielką cnotę, nic nie udaje.

LEKARZ O tak... i nic nie ukrywa. Przyzna pan, że obrazki, w które obfituje, niestosowne dla oczu dziecka...

GRABEK Obrazków tych dostarczamy swoim zachowaniem się my, ludzie dorośli. Można by o tym od czasu do czasu pomyśleć, rozprawiając tak wiele o różnego rodzaju „zgorszeniach".

LEKARZ Mimo pańskich argumentów, nie wyślę syna na ulicę.

GRABEK Nie wątpię. Ale może go tam wysłać — życie. Florek, na przykład, którego pan doktór badał, jest synem adwokata z Poznania.

LEKARZ Jakąż drogą trafił tutaj?

GRABEK Ano... prostą. Przez ulicę. Siedział tam i zdychał z głodu. Przy tym zajęciu zastał go Janek i osądził, że najprościej będzie przyprowadzić go tutaj.

LEKARZ Chrześcijański uczynek...

GRABEK Myli się pan. W intencjach Janka nie było ani trochę samarytanizmu. Po prostu, jak powiedział: „złość go wzięła na szczeniaka", że taki bezradny. Ano ... jego również ojciec nie zamierzał wysyłać na ulicę.

LEKARZ *(krótko)* Tak... Więc przepisuję lekarstwo, które ten mały musi wziąć jeszcze dzisiaj. Jutro trzeba go zabrać do szpitala. Załatwię wszystko co trzeba, niech się ktoś do mnie zgłosi.

JANEK Dobrze, panie doktorze.

Lekarz pisze chwilę na kartce wyrwanej z notatnika.

LEKARZ *(podając receptę Jankowi)* Proszę. Musi to ktoś zaraz zanieść do apteki. *(zabiera się do wyjścia)*

JANEK *(trochę sztucznie)* Ile jestem winien panu doktorowi?

LEKARZ *(jest zaskoczony, potem uśmiecha się lekko i mówi dobitnie)* Pięć złotych.

JANEK *(zawahał się, ale wyjmuje banknocik i podaje go lekarzowi)* Proszę...

LEKARZ *(chowa do portfelu)* Dziękuję. Ale ponieważ ten mały jest teraz moim pacjentem, więc muszę mieć pewność, że mu niczego nie brak. *(wyjmuje z portfelu pieniądze)* Weź to i wydatkuj w miarę potrzeby... No... do widzenia.

GRABEK *(mrukliwie)* Żegnamy...

Lekarz wychodzi.

SCENA V

Poprzedni, oprócz lekarza.

JANEK *(liczy pieniądze)* Sto, dwieście, dwieście pięćdziesiąt, trzysta, trzysta pięćdziesiąt, czterysta! Czterysta zet. Ho, ho, Florek ma posag. Ale przyznam się wam, że nie miałem ochoty tego wziąć, brr...

GRABEK Rzymianie mieli ohydne przysłowie: Pecunia non olet... Pieniądze nie śmierdzą. To nieprawda! Śmierdzą zawsze, wszędzie, śmierdzą nawet te, które się najuczciwiej zarobi, bo licho wie, kto sobie nimi wycierał kieszenie. Ale teraz mogłeś wziąć śmiało. Ostatecznie ten pan ma więcej obowiązków względem Florka niż ty, a pieniędzy — to już napewno więcej.

MANIEK Dawaj receptę... i forsę.

JANEK Masz.

Maniek wychodzi.

WAWRZON *(od garnków)* Chyba będzie już tych ziemniaków?

JANEK Dobra. Nastaw teraz wody i przyłóż na ogień. *(po chwili)* To dziwne, że im biedniejszy stan, tym więcej zachodu koło tego żarcia... Amerykański milioner na filmie to sobie tylko winogrona opłucze, wisky z wodą sodową zamiesza i gotów. A tu? Kartofle i woda i garnków na kopy, w każdym coś się warzy, a koniec końców człowiek przez cały czas głodny i ciągle tylko o żarciu myśli.

Wchodzi Bujakowska.

SCENA VI

Poprzedni i Bujakowska.

BUJAKOWSKA O świecie! Nóg nie czuję, tchu nie mogę złapać...

GRABEK *(od sztalug)* Wiemy. Niezależnie szumi cioci w głowie i wątroba jej podchodzi do gardła...

BUJAKOWSKA Jakbyś wiedział, panie artysta... Pędzlem także samo łatwo machać jak jęzorem, ale przejdź się, kochasiu, dwa razy do hal w moim wieku i z moim zdrowiem...

GRABEK Niech no ciotka nie grzeszy... Co cioci brak? Płuca jak miechy, żołądek jak u strusia, wątróbka — na wystawę, a serca ciocia w ogóle nie masz, jeżeli możesz patrzeć bez łzy w oku na moje portki niezacerowane od tygodni...

BUJAKOWSKA A coś to — mój syn?

GRABEK W każdym razie nie narzeczony... Ożenić to już się z ciotką nie ożenię, na to ciocia nie licz...

BUJAKOWSKA Pewnie... Gdzie mnie do takiego losu? Tylko pomyśleć, jakie to szczęście będzie miała ta twoja przyszła, to się człowiekowi lżej robi, że już stary.

GRABEK A ja często myślę o cioci wieczorami... Myślę, że jeżeli jest Pan Bóg na niebie, to w końcu ciężko cio-

tuchnę pokarze za moją krzywdę... Już się tam w czyśćcu na trzeciej fajerce gotuje spory kociołek pierwszorzędnej smoły, żebyś ciocia miała wygodę... przez te pięćset lat, co tam posiedzi.

BUJAKOWSKA Ej, cicho... Ej, cicho... *(Podczas całego dialogu Bujakowska krząta się koło kuchni; poprawia ogień, przestawia garnki itd.).* O piekle, to już ty, aniołku z różkami, lepiej nic nie mów.

GRABEK *(składa pędzle i sięga po beret)* Ha, trudno. Idę w świat z rozdartym sercem i rozdartym kuprem od spodni... Będzie ciocia musiała za karę wytrzymać beze mnie aż do jutra.

BUJAKOWSKA Poczekaj pan chwilę... Zjesz zupy, to sobie pójdziesz.

GRABEK Niestety, czyli po francusku „Hèlas"! Mój lekarz domowy zaleca mi unikać zup i pokarmów mącznych z powodu grożącej mi tuszy. A ponieważ na drób u cioci, „Hélas!", liczyć nie można, więc jeszcze raz żegnam!

Kłania się i wychodzi.

SCENA VII

Poprzedni, oprócz Grabka.

BUJAKOWSKA Głodne to-to, aż zielone na gębie a stawia się. Strach jak nie lubię głupich ludzi... *(do chłopców)* Dlaczego kasza stoi niezjędzona? Miał ten nowy głodomór zjeść to w południe.

JANEK Nie wiedziałem...

BUJAKOWSKA *(do Wawrzka)* Przecie mówiłam ci po polsku. Masz zjeść, boś przegłodniał... A kawaler co? Na pierożki czeka?

WAWRZON Joo...

BUJAKOWSKA O grymasach u mnie mowy nie będzie. Komu źle...

JANEK *(przerywa)* Dajże, ciocia, spokój, przecie on się ciotki boi.

BUJAKOWSKA Jezusie Ukrzyżowany! Mnie?!

JANEK A cóż dziwnego? Od wczoraj ciocia krzyczy na niego.

BUJAKOWSKA Ja krzyczę? Ot, los mój wdowi, sierocy los! Ja krzyczę! Jednego słowa nikt ode mnie nie słyszał, mówić już człowiek zapomniał, ani do sąsiadki, ani do sklepiku, ani do tej bramy nie zejdzie z ludźmi pogadać, a ten jeszcze powie starej kobiecie: „Ciocia krzyczy"!

Florek poruszył się na łóżku i stęknął.

MANIEK No, ma ciocia: nawet Florek się od tego krzyku zbudził...

FLOREK *(ze snu na pół przytomnie)* Cio... cia...

BUJAKOWSKA *(podbiega do Florka)* Co skarbuńciu? Co malutki?

FLOREK Jutro idę do szpitala.

BUJAKOWSKA Jezusie uratuj! Co on znowu bredzi? Co on gada?

JANEK Prawdę. Doktór obiecał, że go umieści w szpitalu.

BUJAKOWSKA Póki ja żyję — nic z tego nie będzie. Do szpitala! Czemu nie na cmentarz?

JANEK Przecie jemu lepiej będzie... Tu co dzień doktór nie przyjdzie, w razie czego nie mamy ani narzędzi, ani lekarstw. Jak mu się zrobi gorzej, któż go poratuje?

BUJAKOWSKA Ja! Na głód, na choroby, zarazy, do rzeźni go nie dam.

JANEK Jedzenie może mu ciocia nosić. Mam nawet na to pieniądze. Ale pojechać musi. I doktór mówił i pan Grabek.

BUJAKOWSKA Twój pan Grabek chce u mnie zarobić na guza! Mało tu radców, jeszcze pan Grabek! A ty też nie bądź za mądry, boś koniec końcem pędrak bez rozumu. Będzie jak mówię — tu zostanie.

FLOREK *(bierze ją za rękę)* Niech się ciocia nie martwi... Mnie tam będzie dobrze... Mnie już teraz zawsze będzie dobrze...

BUJAKOWSKA Czemuż to tak?

FLOREK A bo... jedna rzecz. Ale nie powiem...

BUJAKOWSKA Powiedz, Floreczku... Lepiej ci?

FLOREK Teraz nie. Teraz mi jest ciężko, bo mi ogromnie urosła głowa. Jest taka duża, że się nie może zmieścić w tym pokoju i ściany mi bardzo gniotą czoło... Także, jak któreś z was chodzi, to musi chodzić w mojej głowie i to mnie boli. Ale w nocy mi jest bardzo dobrze... Powiem ci coś... W nocy przychodzą do mnie krasnoludki...

BUJAKOWSKA Matko Święta... krasnoludki?

FLOREK Tak... Pan Grabek mówił coś, że one są w czerwonych czapkach, ale to nieprawda. Tak je rysują dla dzieci, ale takie prawdziwe są zupełnie inne...

Janek z uśmiechem i Wawrzon z przejęciem zbliżają się, otaczają łóżko malca.

Do mnie przychodzi jeden. Nazywa się zegarmistrz. Ten chodzi bez czapki, jest łysy, łysiutki i głowę ma taką dużą, że ledwo może udźwigać. Na brzuszku ma złoty łańcuszek i jak siądzie tu, na mojej poduszce, to słychać całkiem wyraźnie jego zegarek. Cyk, cyk, cyk, cyk. cyk... Ja go czasem nie widzę, ale wiem, że jest przy mnie... O... teraz! Posłuchajcie!

Chwila milczenia.

WAWRZON *(szeptem)* Prawda...

FLOREK A widzisz... Jakby was tu nie było — zaraz by się pokazał, ale przy was nie wyjdzie...

JANEK Czemu to?

FLOREK Bo wy już jesteście za starzy. Tak mi się zdaje, że jakbym go bardzo, bardzo prosił, to by się może pokazał cioci... Ale wam — już nie.

JANEK Masz rację... Nam już nie.

FLOREK A ten zegarmistrz przyszedł do mnie pierwszy raz w rok potem jak zabili tatusia... On mnie nauczył co trzeba zrobić, żeby go zobaczyć...

BUJAKOWSKA Zobaczyć? Kogo? Twojego tatusia?

FLOREK Tak... Było już późno... Ja płakałem, nie mogłem spać. Więc on wtedy przyszedł i powiedział mi...

JANEK Co ci powiedział?

FLOREK Że trzeba w lecie, w samo południe, stanąć pod drzewem i patrzeć prościutko tam, gdzie jego cień jest najdłuższy. Wtedy się zrobi szpara...

JANEK Jak to szpara? W czym?

FLOREK We wszystkim: w ziemi, w niebie, szpara na wylot, we wszystkim tym, co widać z naszego świata. I przez tą szparę można zobaczyć tamten świat, gdzie teraz jest tatuś...

BUJAKOWSKA No i widziałeś go?

FLOREK *(po chwili)* Tak... widziałem...

BUJAKOWSKA Powiedz Floreczku, dlaczego ty zawsze kłamiesz? Czy to ładnie?

FLOREK Ja nie kłamię... Widziałem go naprawdę. Tylko nie lubię o tym mówić. Był bardzo zamyślony... Siedział gdzieś w czymś takim szarym... Zawołałem na niego „tatusiu! ty żyjesz?“ a on spojrzał na mnie i roześmiał się,

ale tak jakoś strasznie, że potem już nie chciałem patrzeć przez szparkę...

JANEK Ech, ty... kłamczuchu — poeto!

Wchodzi, a raczej wpada sąsiadka.

SCENA VIII

Poprzedni, sąsiadka.

SĄSIADKA Pani Bujakowska! Okna zamykać, prędko!

BUJAKOWSKA Co się stało?

SĄSIADKA Rządca ogłaszał na dole niemieckie rozporządzenie: wszystkie okna od ulicy mają być zamknięte, które zostanie otwarte — pójdzie na rozstrzał...

BUJAKOWKA Okno? Na rozstrzał?

SĄSIADKA Et, co pani gada? Mowię wyraźnie żeby zamykać. *(wychodzi)*

JANEK *(zamyka okno)* Trzeba będzie zobaczyć, co to za nowość.

Wchodzą Kacper i Franek.

SCENA IX

Poprzedni, Franek i Kacper.

JANEK Co to? Już wam się znudziło? Tak wcześnie?

FRANEK *(macha ręką)* Nie warto było w ogóle wychodzić z domu. Kto ci dzisiaj będzie słuchał śpiewek? Miasto — aż dudni. Ech, teraz to już zdaje się pójdziemy na całego... Był tu Grabek?

JANEK Był.

FRANEK I co? Nic nie mówił?

JANEK Nic.

FRANEK To dziwne. Przecie on chyba powinien coś wiedzieć. Trzeba pogadać z redaktorem...

BUJAKOWSKA O, co to, to nie. Jego już jak raz wypuści, to go i nie zagoni z powrotem. Jeszcze narobi nieszczęścia sobie i nam.

KACPER Cioci tylko zawsze w głowie nieszczęścia.

BUJAKOWSKA A co? Mało to ludzi się namarnowało przez te jeich gazetki? Prawdę mówiąc, komu to potrzebne? Ile razy to czytam, to mnie krew zalewa. *(wyjmuje zza gorsu ulotkę i czyta przedrzeźniając).* „Pan Churchill“ *(wymawia według pisowni)* powiedział, że w 1945 roku Anglia będzie miała sto tysięcy samolotów“. A mnie co z tych angielskich samolotów? Rosół na nich ugotuję? Czy mojego biedaka z Oświęcimia mi przywiozą?

JANEK Przecie bez nich byłoby jeszcze gorzej.

BUJAKOWSKA A cóż ci one dają?

JANEK Nadzieję...

BUJAKOWSKA Oho! Żyjemy samą czystą nadzieją przez pięć lat. Nadziei do garnka nie włożę.

Pukanie w ścianę.

O... jak to mu pilno...

Janek i Franek odsuwają szafę, po chwili wychodzi zza niej Redaktor.

SCENA X

Poprzedni, Redaktor.

REDAKTOR Uffff!... Ostatni był czas. Witam ciocię, stęskniłem się za nią jak za słoneczkiem... Jakże Florek?

JANEK Śpi ciągle. Jutro do szpitala idzie. *(do Kacpra)* Kacper, daj no pozór na schodach. Przyjdę cię zmienić.

REDAKTOR Słuchajcie chłopcy, chodźcie no tu: palawer, czyli narada wodzów. Dziś wieczorem idę od was. Rzekłem.

JANEK Złapią pana w jeden dzień. Całe Gestapo pana szuka.

REDAKTOR Toteż ja chcę iść całkiem, za Wisłę. Na sowiecką stronę.

Chwila milczenia.

FRANEK To nie byłoby źle.

JANEK A z miasta jak pan wyjdzie?

REDAKTOR Z bródką, wieczorkiem, po chłodku. O to idzie, że musicie mnie trochę zapilotować. Wstąpię tylko w jedno miejsce.

JANEK I już pana mają...

REDAKTOR Trudno. Od siebie nie zależę, meldować się muszę. Zresztą... odzwyczaiłem się od forsy, ale coś muszę mieć przy sobie.

FRANEK A czy pan nic nie wie?

REDAKTOR O czym?

FRANEK Bo tu u nas wygląda... że lada chwila.

REDAKTOR *(macha ręką)* Dajcie mi spokój. Ta chwila może potrwać i miesiąc. Ja już nie mogę dłużej. Nie mogę zresztą narażać was wszystkich... Czy Melchior jeszcze na wolności?

FRANEK Chyba tak...

REDAKTOR A może już nie... Melchior jest chłop pewny, ale jak mu nogi zaczną łamać, miejsce koło miejsca, tak jak Rozworze, to któż zaręczy? Nie same Rozwory na świecie. Więc krótko, chłopcy! Pomagacie mi?

FRANEK No pewnie!

JANEK No, a jak? Pan myśli, że nie?

REDAKTOR Uchwalone. Ty Franek pojdziesz na Mylną pod dwunasty... Tam mieszka fryzjer teatralny Raszutko. Zapamiętaj: Raszutko...

FRANEK Raszutko.

REDAKTOR Powiesz mu, że Władysław musi mieć zaraz taki garnitur jak miał przy robocie z Kutscherą. Poczekasz aż zrobi.

FRANEK Garnitur?

REDAKTOR No to właśnie bródkę i kawał noska. Nie będzie długo. Ale to nie koniec. Musisz zabrać ze sobą Kacpra, bo sam nie będziesz mógł tu wrócić. Jemu oddasz paczkę a sam pójdziesz na ulicę Czerwonego Krzyża siedem, mieszkania trzy ,pamiętasz?

FRANEK Czerwonego Krzyża siedem, mieszkania trzy.

REDAKTOR Do panny Thieme...

FRANEK Thieme...

REDAKTOR *(wyjmuje notes)* To możesz zapisać. *(pisze)* Pracownia kapeluszy Thieme. Zapytasz o pannę Wandę i powiesz, że pan Kranz kazał ci tu czekać...

FRANEK I co?

REDAKTOR To już prawie wszystko. Tam poczekasz na mnie. Jeżeli przyjdę — zobaczysz co dalej. Jeżeli mnie nie będzie do szóstej — to klapa...

FRANEK Rozumiem.

REDAKTOR Uważaj teraz: o szóstej minut trzydzieści wyjdziesz od panny Thieme. Ja pewno już żyć nie będę, ale na wszelki wypadek dowiaduj się o mnie od Janka i na Pawiaku, na Szucha*), no, tam gdzie mogę być... Rozumiesz?

FRANEK Rozumiem.

REDAKTOR Więc idź najlepiej zaraz, bo czasu mało. Umów się z Kacprem, gdzie ma czekać. No, Franek, serwus. *(wyciąga do niego rękę)* Co złego — nie pamiętaj.

---

*) Na ulicy Szucha mieściło się warszawskie Gestapo.

FRANEK *(ściska jego rękę, mocno wzruszony)* Czekam... do szóstej... na pana...

REDAKTOR Przyjdę, przyjdę napewno.

Franek wolno wychodzi.

SCENA XI

Poprzedni, oprócz Franka.

REDAKTOR *(patrzy na Janka z uśmiechem)* Nò... a my? Cóż sobie powiemy, Jasiu? *(patrzą na siebie przez chwilę)* Śmiesznie powiedzieć, żeś ty właściwie dzieciak... Pomyśl: dwadzieścia lat jestem starszy, prawie trzy razy tak długo żyję na świecie. Kilkanaście lat temu nie potrafiłbym zamienić słowa z chłopcem w twoim wieku. A ileż przegadaliśmy.

JANEK Tak, przegadaliśmy... Pan mówił mi, że człowiek po to zjawia się na ziemi, żeby pracować, myśleć i kochać innych ludzi. Że szczęście jest prawem każdego... że wystarczy popatrzeć na drzewo w słońcu, na ptaka w powietrzu, na wodę w szerokim jeziorze, żeby zrozumieć, że świat nie może być niczym innym, tylko — rajem i tym rajem będzie w końcu, choćby naokoło było jeszcze więcej krwi, smrodu, szaleństwa i złości, niż ta, w której brodzimy. Widzi pan? Pamiętam dobrze. Słuchałem tego, bom pana lubił i szanował, bo wiedziałem, że pan potrafi nie tylko gadać, że można na pana liczyć, jak na swojego. Ale teraz, kiedy się może... rozejdziemy, muszę panu powiedzieć, że to pan wydawał mi się dzieckiem, takim, jak nasz Florek, co widzi krasnoludki i słyszy złote zegarki tam, gdzie jest tylko czarny robak, co się w ścianę wgryza. Bo jeżeli każdy ma prawo do szczęścia, a szczęściem dla Niemców jest kopać w zęby Polaka, Rosjanina, czy kogo tam jeszcze, to ja im tego prawa — odmawiam. Jeżeli sprawiedliwość ma być tylko

dla mocnych, to ja będę nienawidził, szarpał, psuł szczęście tamtych i takie będzie moje prawo.

REDAKTOR Najświętsze. I dlatego ci mocni nie będą szczęśliwi, nie będą nigdy pewni swego panowania, dopóki nie zrozumieją, że szczęście jest prawem każdego. Że będziemy szczęśliwi na ziemi albo wszyscy — albo nikt. Że kopanie w zęby najmarniejszej istoty wyzwala z niej złą siłę, jad, co będzie niszczył i tego, który go kopie.

JANEK Czy pan myśli, że zrozumieją to i Niemcy?

REDAKTOR Zrozumieją, albo zginą. Bo jeżeli mówiłem ci, że świat musi być rajem, to nie myślałem o tym, że ja, czy ty, czy ktokolwiek i kiedykolwiek w tym raju odpocznie. To zapewne nie będzie nigdy udziałem ludzkości. Ale trzeba wierzyć w ten raj, żeby do niego dążyć. Dążyć, walczyć, piąć się w górę i umierać z nadzieją. Święci nie byli szaleńcami, choć może niektórym z nas wydaje się dziś naiwną ich wiara w dobrego i sprawiedliwego Boga. Ale ta wiara stworzyła czyny, co pchnęły ludzkość naprzód po tej samej drodze, po której my w trudzie, we krwi, obryzgani jadem nienawiści, pchamy ją dalej i dalej. Bo i w nas jest wiara w sprawę człowieka na ziemi, wiara, dla ktorej walczymy i zginiemy.

Wpada zdyszany Maniek.

SCENA XII

MANIEK Redaktor tu? Niech pan się chowa... szybko!

BUJAKOWSKA Matko Święta, co się stało?

MANIEK Niemcy!

REDAKTOR Tu idą?

MANIEK Jeszcze nie. Są pod szesnastym... Otoczyli dom. Podobno szukają żydów, ale jeszcze nikt nic nie wie...

JANEK Złaź na czujkę! W razie czego gwizdaj, tylko... mądrze.

Maniek wybiega.

BUJAKOWSKA Matko Święta! Obiad już gotów. Może zjecie chociaż.

REDAKTOR Nie, za duże ryzyko. Myślę, że mnie nie szukają, ale mogą zajrzeć po drodze. Jeżeli ich przyjdzie kilku, to narobią takiego wrzasku, że ich usłyszę. Wtedy ucieknę przez dach, może nie zobaczą. W każdym razie gdyby robili rewizję, to zanim dojdą do tej ściany, meldujcie im, że za szafą jest wejście na strych, bo znajdą i tak. Ja tam usunę wszystkie swoje ślady i jak będę z tym gotów — puknę. Myślę, że prędzej jak za dwadzieścia minut — pół godziny, nie ma ich się co spodziewać.

BUJAKOWSKA Niech pan już idzie!...

REDAKTOR Dobrze. Mańka lepiej ściągnąć z tych schodów. Może niechcący naprowadzić. Już idę.

Wchodzi za szafę. Janek zasuwa szybko.

SCENA XIII

Poprzedni, oprócz Redaktora.

JANEK Wawrzek, masz ty jaki dowód?

WAWRZON Ni...

JANEK Jak się nazywasz?

WAWRZON Kalita.

JANEK Przyjechałeś ze wsi od ciotki. Pamiętaj. Idę po Mańka.

Biegnie ku drzwiom, chce wyjść i cofa się gwałtownie. We drzwiach staje mundurowy Niemiec prowadząc Mańka.

SCENA XIV

Poprzedni, policjant niemiecki i Maniek.

NIEMIEC *(dobrodusznie)* Moogen[1]) Dzień dobry.

JANEK Dzień... dobry.

BUJAKOWSKA Jezusie...

NIEMIEC Warum:[2]) Jezusie? Ha, ha, ha... Jezusie... Ten chłopak tu mieszka?

BUJAKOWSKA Tak, tu.

NIEMIEC Jak się nazywa?

BUJAKOWSKA Witkowski Marian.

NIEMIEC No, ja... Das stimmt[3]).

Puszcza Mańka, siada koło stołu i wyjmuje kopciuch z tytoniem. Do Mańka.

Twoje szczęście, żeś nie zełgał... Fuuu... wysoko, co? Przez takiego... So einem Lausbub[4])... musiałem tu włazić... Wart batów. To syn wasz?

BUJAKOWSKA Krewniak, sierota.

NIEMIEC No, ja... sierota. *(rozgląda się. Wskazuje Florka)* Chory?

BUJAKOWSKA Tak.

NIEMIEC Wasz syn?

BUJAKOWSKA ...Tak.

NIEMIEC ...Soooo[5])... A temu *(wskazuje Mańka)* krewniak — baty! Powiedziane raz: do bramy nie wolno — to nie wolno. Verstehst?[6])

MANIEK Nie wiedziałem...

---

[1]) Moogen (Morgen) — Dzień dobry.
[2]) Warum — dlaczego?
[3]) Das stimmt (czytaj: sztimt) — to się zgadza.
[4]) So einem Lausbub — przezwisko niem.
[5]) So — tak.
[6]) Verstehst? (czytaj: fersztejst) — rozumiesz?

NIEMIEC Noo... „nie wiedziałem". Jakby ja był SS, toby ci pokazał „nie wiedziałem". No ja tutejszy... Volksdeutsch, nicht wahr?[7]) Żyłem tu przed wojną na kolonii koło Grójca. Owszem, dobrze się żyło. *(nabił fajkę i zapala)* Szkoda trochę waszego narodu, ale cóż? Naród głupi. Po co wam była wojna? *(Janek, który myśli ciągle o tym, że Redaktor ma pukać i nie wie, czy usłyszał głos Niemca, kręci się niespokojnie, chcąc dać znać o niebezpieczeństwie. Niemiec zauważył jego niespokojne ruchy).*

NIEMIEC Du!...Was treibt dich, doch? Verstehst du deutsch?[8])

JANEK Nie rozumiem...

NIEMIEC No, ja... nie rozumiem... Wir kennen sehr gut eure „nie rozumiem"[9]). A czemu nie rozumiem? Cztery lata był czas się nauczyć... Potem będzie za późno. Kto stary jak ta, o... alte Hexe[10])... ho, to już szmelc. Ale ty będziesz Niemcem. Za pięć lat tu nie będzie Polaków. Verstanden?[11]) Chcesz być Niemcem?

JANEK *(korzysta z okazji i mówi głośno, prawie krzyczy)* O tak, panie policjancie! Panie Volksdeutschu!...

NIEMIEC *(rozgląda się czujnie)* Warum schreit der Lausbub?[12]) *(surowo do Janka)* Czemu ty krzyczysz, co?

JANEK Ja nie... Ja tak z radości.

---

[7]) Volksdeutsch, nicht wahr? — narodowości niemieckiej, nie prawda?

[8]) Du!... Was treibt dich, doch? Verstehst du deutsch? — Ty!... Co tam cię tak podnieca? Rozumiesz po niemiecku?

[9]) Wir kennen sehr gut eure „nie rozumiem" — my doskonale znamy wasze „nie rozumiem".

[10]) Alte Hexe — stara wiedźma.

[11]) Verstanden (czytaj: fersztanden) — zrozumiano?

[12]) Warum schreit der Lausbub — dlaczego ten łobuz krzyczy?

NIEMIEC Ach, ihr dumme Polacken[13])... *(wstaje)* Mnie chcecie oszukać? *(do Bujakowskiej groźnie)* Gadaj, kogo tu chowasz, stara!

BUJAKOWSKA Jezusie...

NIEMIEC No, ja „Jezusie"! Gdzie i kto tu schowany? *(zniża głos)* I niech no który mruknie, to... Gadasz?

BUJAKOWSKA Przecie tu nikogo nie ma tylko ja wdowa i te dzieci. Niech pan szuka. Któżby tu miał być?

NIEMIEC A ja ci radzę gadaj! Jak poszukam będzie gorzej.

BUJAKOWSKA Kiedy nie ma nikogo...

NIEMIEC *(nagłym ruchem wyciąga rewolwer)* Gadasz, stara wiedźmo?

BUJAKOWSKA Co mam gadać?

NIEMIEC Ja cię nauczę... *(wskazuje brodą Florka)* Twój syn? *(mierzy do niego)* Liczę do trzech... po niemiecku policzę... zrozumiesz! Nie powiesz — strzelam.

Bujakowska rzuca się do Florka. Wawrzon z tyłu za Niemcem podnosi duże polano drzewa.

NIEMIEC Ein... Zwei[14])...

Wawrzon wznosi polano: jednocześnie słychać głośne pukanie redaktora w ścianę.

NIEMIEC *(opuszcza rewolwer)* Ach so[15]) — *(przyciszonym głosem)* W kąt wszystko, raus![16])

Pod groźbą rewolweru wszyscy skupiają się w kącie. Niemiec idzie do drzwi i przekręca klucz. Potem nie spuszczając z oka gromadki więźniów, odsuwa szafę i znika za nią. W tej sa-

---

[13]) Ihr dumme Polaken (czytaj: Polakken) — wy głupi Polacy.
[14]) Ein... Zwei... (czytaj: ajn, cwaj) — jeden... dwa...
[15]) Ach, so (czytaj: ach, zo) — ach, tak.
[16]) raus — precz.

mej chwili Wawrzon i Janek z polanami podbiegają do szafy i zaczajają się. Chwila ciszy. Słychać szybko po sobie dwa strzały. Znowu chwila ciszy. Zza szafy wychodzi z rewolwerem w ręce Redaktor.

SCENA XV

Bujakowska, Maniek, Janek, Wawrzon, Florek, Redaktor.

JANEK *(upuszcza polano)* Pan... Redaktor!

REDAKTOR Nie ma ich więcej?

JANEK Tu nie ma. Gdzie tamten?

REDAKTOR Tamten nam już szkodzić nie będzie... Ale wy wszyscy musicie iść stąd zaraz. Ja zostanę.

JANEK Pan nie słyszał jak krzyknąłem?

REDAKTOR Nie, ale mniejsza o to. Opowiemy sobie to za rok. Teraz musicie zaraz stąd iść i to na zawsze... Lada chwila przyjdą po tego tam — kamraci. Już ja ich tu przyjmę...

JANEK Bramą nie wyjdziemy. Obstawiona...

REDAKTOR Nasza brama?

MANIEK Patrolują po ulicy. W bramie stać nie wolno.

Chwila milczenia.

REDAKTOR Ha, w takim razie... Nie ma rady tylko przez dach. Janek poprowadzisz. *(całuje w rękę Bujakowską)* Ciotuchna będzie odważna, co? Janek musisz prowadzić tą stroną skąd nie widać od ulicy. Wyjdziesz pierwszy i zbadasz teren. Jak zajdziecie pod dwudziesty trzeci — nie zatrzymywać się na strychu... Od razu do Bryłów i dalej. No, z Bogiem, ruszajcie!

JANEK A pan?

REDAKTOR Nie marudź. Cofnę się zaraz za wami. Nie tak prędko podejdą do mnie. Mam dwie spluwy. Najgorzej z Florkiem, ale przecież to małe dziecko. Nic mu chyba nie zrobią...

BUJAKOWSKA Nie zrobią? Coś pan z Londynu przyjechał? Nie zrobią! Nie ruszę się bez niego.

REDAKTOR Franek i ty mały... Janek? Wawrzon! Brać Florka. Już marsz, do jasnej cholery! Śpisz Janek?! *(Franek i Wawrzon biorą Florka, Redaktor do Janka)* Prowadź!

W tej chwili blisko seria z karabinu maszynowego. Kilka strzałów, krzyki.

REDAKTOR Cóż to znów? *(Huk granatu ręcznego. Drugi. Znowu strzały...)* Janek na dach! Ostrożnie wyjrzeć... *(do reszty)* Wy — w pogotowiu.

Janek wybiega za szafę. Hałas bitewny wzmaga się. Po schodach ktoś szybko wbiega. Słychać to przez drzwi. Jednocześnie słychać:

GŁOS JANKA Redaktorze! Nasi na ulicach!

Drzwi otwierają się gwałtownie i wpada Grabek. Jest w hełmie szturmowym z orłem. Na ręku opaska. W ręku maszynowy pistolet.

REDAKTOR *(cofa się)* Co to jest?

GRABEK P o w s t a n i e!

K u r t y n a

AKT III

Wylot ulicy zamknięty barykadą. Ulica biegnie skośnie po przekątnej sceny, od widza w głąb. Jest to w innym skrócie i pod innym kątem widziana dekoracja z aktu I-go. Głąb sceny jest tym razem otwarta. Widać, że ulica jest wyniesiona na skarpie czy cyplu i czuć, że za barykadą spada w dół. Sama barykada wybiega w niebo, którego duży kawał widać ponad nią. Niebo to ogranicza z lewej strony sylweta poszarpanego muru pierwszej, zburzonej kamienicy, od dołu — linia dachów niżej położonych dzielnic, wreszcie z prawej — rama sceny. W linii dachów trzeba widzowi sugerować miejsce akcji (Warszawę) bardzo mocnym skrótem syntetycznym, nie oglądając się całkiem na topografię. Jest mrok, prawie noc. Powietrze rdzawe, nasycone dymem i łuną. Niebo gra bez przerwy, ruchliwe, niespokojne, pełne nagłych, niespodziewanych świateł, które wybuchają i bledną z przyczyn dla widza nieznanych. Barykada jest wyniosła i samotna pod gwiazdami. Odcina twardą linią przednią część sceny (głąb uliczki), gdzie odbywa się akcja. Ulica za barykadą (od widza) zasadniczo ciemna, chociaż biegają po niej często plamy światła nagłe, nietrwałe, ruchliwe i dziwne. Na szczycie barykady — ciężki karabin maszynowy, obok sylweta głowy żołnierza

w hełmie bojowym. Chodnik ulicy zrujnowany, płyty wyrwane na barykadę. W domu nienaruszonym (z aktu I-go) teraz brak szyb, niektóre futryny powyrywane. Całe tylko i naiwnie, sielankowo bezbronne zostało „okno z firankami". Pod drzewkiem, na pasku zieleni ulicznej, grób z drewnianym krzyżem. Po prawej stronie sceny, naprzeciw grobu, prawie przy rampie, niekształtna kupa gruzu i połamanych płyt chodnika. Wejścia na scenę stanowią: z lewej brama nieuszkodzonej kamienicy, od środka — obejście obok barykady. Nad bramą białoczerwona flaga. Odgłosy walki, w różnych nasileniach, słychać od podniesienia kurtyny do końca. Pod zburzonym murem stoją nosze sanitarne, na których siedzi Redaktor z papierosem w ustach. Jest uzbrojony, z opaską, w wojskowej furażerce. Obok niego Grabek, również w stroju powstańczym.

SCENA I

Redaktor, Grabek, Żołnierze. — Po podniesieniu kurtyny słychać przez jakiś czas wyłącznie odgłosy walki, toczącej się to bliżej, to dalej. Na ciemnej ulicy znać tylko sylwety i widać punkcik ognia od papierosa, którego pali Redaktor. W nagłym rozjaśnieniu widać pod samą barykadą kilku śpiących żołnierzy, Grabka i Redaktora. We względną ciszę wpada melodia amerykańskiego marsza „Yankee doodley", granego przed każdą audycją. Na scenie nie wywołuje to żadnej reakcji. Po skończonej strofce zabiera głos, umieszczony w którymś z okien kamienicy.

MEGAFON RADIOWY Hallo! Słyszycie głos z Ameryki, jednego z Narodów Zjednoczonych. Nadajemy komunikat dla naszych polskich słuchaczów w Ameryce, transmitowany do Europy przez Radio Londyn. Wiadomość z Warszawy: na wszystkich odcinkach frontu powstańczego trwają cięż-

kie walki obronne. Nieprzyjaciel atakował bardzo mocno w rejonie Starego Miasta, wspierając swoje liczne ataki czołgowe ogniem artylerii wszystkich kalibrów oraz nalotami aparatów bombowych, stosowanymi co dwadzieścia minut, podczas całego dnia. Na terenie dzielnicy staromiejskiej nie pozostał w całości ani jeden dom. Wojsko i ludność bronią się z gruzów i piwnic. Ogólne położenie bez zmiany... Wiadomość z Paryża: Paryż święci wielkie zwycięstwo Armii Sprzymierzonych. Rzecznik Kwatery Głownej oświadczył prasie, że rok 1945 stanie już na progu zwycięstwa słusznej sprawy Zjednoczonych Narodów. — Wiadomość z Londynu: przedstawiciel partii konserwatywnej, lord Myrnes, powiedział na posiedzeniu parlamentu, że cały świat patrzy na bohaterskie walki w Warszawie z podziwem i niewzruszonym spokojem, pewny ostatecznego zwycięstwa. — Na tym kończymy.

Marsz Yankee doodley.

REDAKTOR Świat patrzy z niewzruszonym spokojem...

GRABEK I w roku 1945 będzie bliski zwycięstwa... Ponieważ dzisiaj mamy pierwszego września 1944 roku — łatwo już teraz będzie obliczyć nasze szanse...

REDAKTOR Miesiąc temu wychodziliśmy od ciotki, pamiętasz? Miesiąc! Kto by to pomyślał? Najśmieszniejsze jest to, że jeszcze żyjemy.

GRABEK *(wstaje i przeciąga się)* Wiesz? Chwilami przestaje mnie to bawić... Idziesz spać ?

REDAKTOR Nie, mam czekać na kapitana. Jest w sztabie.

GRABEK Możesz mu się ode mnie nie kłaniać. Dało mi ścierwo służbę od drugiej... Serwus! *(wychodzi zwolna).*

SCENA II

Poprzedni, Mara, Pan z Wareckiej, uchodźcy. — Na niebie jasna rakieta. Druga. Bliższy ogień karabinu maszynowego. Jakiś ruch za barykadą.

ŻOŁNIERZ *(woła ze szczytu barykady)* Ej, wy! Stać! Wy razem? *(pomruk z dołu).* Jeden do mnie na hasło! *(ruch pod barykadą)* Przełazić!

Obejściem barykady przenika na scenę sznur ludzi z zawiniątkami, workami na plecach i w milczeniu sunie w kierunku bramy.

REDAKTOR Skąd idziecie, ludzie?

Jedna z postaci zatrzymuje się.

MARA Ze Starówki.

REDAKTOR A co tam?

MARA Ewakuacja.

REDAKTOR E... — ewakuacja? Czy... — wojsko zostało?

MARA Nie. Wychodzi za nami. Tam... już nie ma nic.

REDAKTOR Niech pani siądzie na chwilę. Mam trochę słoniny i konserwę ze szpinaku. Podzielimy się. Chleba, niestety... pani rozumie?

Mara upuszcza tobołek tam, gdzie stoi, podchodzi do noszy i siada ciężko. Redaktor grzebie w chlebaku. Sceną znowu przechodzi sznur ludzi. Niosą kogoś na noszach.

REDAKTOR *(podaje Marze jedzenie)* O, tu ma pani, cieniutko pokrajane, tylko jeść. Niech pani nakłada na to grubo szpinaku... Bardzo dobrze... *(Mara zaczyna jeść łapczywie)* Oho... przydało się... Ale powoli. Dawno pani nie jadła?

MARA Od wczoraj.

REDAKTOR Ee... to nic. Można wsuwać...

ŻOŁNIERZE NA BARYKADZIE Stój, na hasło!... Zaraz, czekać... *(odwraca się i woła w kierunku widowni)* Panie sierżancie!

REDAKTOR Ja.

ŻOŁNIERZ Hasła tu nie mają... Troje.

REDAKTOR Puścić do mnie!

Przez obejście w barykadzie wchodzą dwie kobiety i jeden mężczyzna. Jedna z kobiet niesie dwie walizy, druga małego pieska pod pachą i maszynkę do czarnej kawy. Mężczyzna jest podniecony, ruchy nerwowe.

REDAKTOR Państwo skąd?

PAN Z WARECKIEJ Z Wareckiej...

REDAKTOR Proszę o dowód... *(Mężczyzna podaje. Redaktor świeci latarką).* Dziękuję... Pójdzie pan przez bramę. Dalej pokażą...

PAN Z WARECKIEJ Pójdę... Tak, pójdę! Ale przedtem panu powiem, że to jest biurokracja. Głupia, bezmyślna biurokracja! Hasło! Dom się pali, pan rozumie? Dachu nad głową nie mamy, pan wie o tym! A tu... hasła! dowody!...

REDAKTOR Niech się pan nie denerwuje... Cóż winien żołnierz? To nie biurokracja, tylko wojna. Domy palą się wszędzie naokoło...

PAN Z WARECKIEJ Idę! Ale zapamiętam, jak mnie tu przyjęto. Ojczyzna! *(wychodzi prawie biegiem, za nim kobiety).*

REDAKTOR Ech, Boże... *(siada obok Mary, która tymczasem skończyła jeść i zanosi się spazmatycznym płaczem. Głaszcze ją po głowie)* Tak, niech pani płacze spokojnie. To dobrze robi... Dziwna rzecz, że jak człowiek głodny to nie

może płakać, prawda? *(Mara uspokaja się)* Ciężki pani miała dzień? *(podsuwa jej papierosa)* Proszę zapalić...

MARA *(zapala)* Dziękuję... Dwa domy zawaliły się na nas... Ale. Eh!... *(gest)*

REDAKTOR Niech pani mówi... lżej będzie.

MARA Byłam sanitariuszką w oddziale Bosego. Jak oddział wyginął — nie dostałam już pracy. Siedziałyśmy z matką w piwnicy, na rynku. We środę nasz dom dostał ciężki pocisk z moździerza i zaraz potem dwie bomby. Aż do piwnic się zawalił, ale piwnice ocalały... Tylko ci, co siedzieli od ulicy podusili się mąką...

REDAKTOR Jakto mąką?

MARA Tak... Okna piwniczne były zapchane workami z mąką. Jak przyszedł podmuch od bomby — rozleciało się to wszystko w pył i mąka po prostu zatknęła ich... Strach jak wyglądali... Przeszliśmy dziurami na Freta, ale już w parę godzin zawaliło nas znowu. Trzeba było wyjść na wierzch. I niech pan pomyśli: wychodziłyśmy zdrowe, całe... Przy przejściu przez bramę runęło na matkę sklepienie. Ledwo ją wyciągnęłam. Miała połamane w paru miejscach nogi, rozbitą twarz... Przez znajomych udało mi się ją wepchnąć do szpitala. Sama też uczepiłam się tego szpitala... Dziś po południu zaczęła się ewakuacja. Mieliśmy przejść kanałami na Miodową... Pan rozumie, co to znaczy ewakuacja szpitala kanałami? Boże, Boże... *(po chwili)* Jakeśmy wyszli na świat, matka nie żyła już. Miodowa paliła się: musieli tam rozbić jakiś duży kanał wodociągowy, bo środkiem płynęła po prostu rzeka! Duża rzeka. Nigdy bym nie poznała, gdzie jestem... Wyszliśmy trochę za wcześnie, było jeszcze widno. Niemcy spostrzegli nas od Senatorskiej i zaczął się ogień. Dalej to już właściwie nic nie wiem... Nie wiem także, co się stało z ciałem mojej matki? Granat wybuchnął w wodzie

przed nami... Zalało nas, zawaliło błotem... Później mnie ktoś ciągnął, ludzie krzyczeli, ja krzyczałam... Teraz... nic już nie wiem.

Chwila milczenia.

REDAKTOR Tak... *(wyjmuje notes i pisze coś świecąc sobie latarką)* Wie pani co? Niech pani to weźmie — *(podaje jej kartkę)* i idzie z bramy na lewo, na parter... Tam pani pokażą...

MARA Co mi pokażą?

REDAKTOR Raj. Kanapę, prawdziwą kanapę, gdzie pani będzie mogła spać aż do pierwszego nalotu, do szóstej...

MARA Ja będę mogła... spać? Zdaje się panu.

REDAKTOR Oho, niech się pani tylko położy... Znam się na tym.

MARA *(bierze kartkę i podnosi się ciężko)* Dziękuję.

Wychodzi zwolna ciągnąc za sobą tobołek. Od barykady idzie kapitan.

SCENA III

Kapitan, Redaktor i reszta, prócz Mary.

KAPITAN Halo, sierżancie!

REDAKTOR Jestem!

KAPITAN Mam pełną gębę nowin. Chodź no pan do mnie. Albo nie, duszno tam psiakrew.

Idzie do kupki gruzów na prawej stronie sceny i siada.

KAPITAN *(gest)* Siadajcie... *(Redaktor siada, kapitan podaje mu papierosa)* Pal pan *(zapalają)* No, proszę słuchać. streszczę panu sytuację. Wie pan, oczywiście, że oddaliśmy Stare Miasto?

REDAKTOR Wiem.

KAPITAN Otóż, według wiadomości, które nadeszły z terenu, należy przypuszczać, że Niemcy uderzą w najbliższych godzinach na Powiśle. Nasz wywiad stwierdził, że przegrupowali swoją ciężką artylerię na Pradze do działania w tamtym kierunku. Na linię średnicową oprócz pancerki przewieźli obwodówką moździerze kolejowe. Będą działać także kanonierkami z rzeki, czołgami z Wybrzeża Kościuszkowskiego, no i, oczywiście, z powietrza. Biorąc pod uwagę słabe uposażenie ogniowe naszych oddziałów na Powiślu, nie można mieć nadziei, że się tam utrzymamy dłużej jak dwa — trzy dni... *(wyjmuje z torby mapkę)* Poświeć no pan! *(Redaktor świeci latarką)* Komunikuję panu teraz ściśle poufnie: dziś o dwunastej, czyli za godzinę, rozpocznie się ewakuacja magazynów i szpitali z Powiśla. Pójdą przez Pierackiego, Chmielną na drugą stronę Alei Jerozolimskich... przez wykop. *(wskazuje na planie)* Rzecz jest ważna, żeby ta wiadomość nie rozeszła się zbyt wcześnie między ludźmi, bo się rzucą do ucieczki i zakorkują nam przejścia. Tak czy inaczej, ten nasz ruch odwrotowy nie da się ukryć przed Niemcami dłużej jak do świtu. Pierwszy samolot wywiadowczy zobaczy sznury uchodźców, których rano już żadna siła nie powstrzyma... A teraz proszę spojrzeć na plan... Co wtedy zrobią Niemcy?

REDAKTOR Uderzą na nas... Na naszą placówkę.

KAPITAN Jak amen w pacierzu. Bo my panujemy na tym cypelku nad trasą i nie wyda im się trudno nas stąd zegnać... Otóż, tu się zaczyna nasza rola. Mam rozkaz utrzymać te chałupy do końca.

REDAKTOR Do końca czego?

KAPITAN No... do końca... wojny. Rozkaz odwrotu nie jest dla nas w ogóle przewidziany. Zresztą, już około południa odwrót stanie się dla nas niemożliwy, bo nawet jeśli będziemy jeszcze żyć, to ogród Nazaretanek będzie już na-

pewno w ręku Niemców. Chodzi o to, żeby tu, w tym kojcu, utrzymać walkę jak można najdłużej... Wojsko będzie tymczasem próbować tej drogi. *(wskazuje)* Rozumie pan?

REDAKTOR Rozumiem...

KAPITAN Ufff! *(zdejmuje czapkę i ociera pot z czoła)* W tym stanie rzeczy trzeba oczywiście usunąć stąd wszystkich, którzy nie są niezbędni... W celu uniknięcia zbytnich... te... zbytniego tłoku w tym miejscu, prawda?

REDAKTOR Całkiem jasne.

KAPITAN Otóż...

Słychać przegrywkę polskiego radia. Kapitan mimowoli odwraca się.

MEGAFON Halo! Mówi Polskie Radio na falach Londynu. Przemówienie do bohaterskich obrońców Warszawy walczącej wygłosi pan pre... *(urywa nagle, widocznie wyłączone).*

KAPITAN Chwała Bogu, domyślił się ktoś... Otóż, „bohaterski obrońco", tym się pan zajmie natychmiast: cywilów z tych domów *(wskazuje ręką)*, z Instytutu i od ogrodów trzeba ruszyć natychmiast. Chciałbym ich przerzucić przez Aleje, zanim dojdzie tam czoło naszych kolumn z Powiśla. A teraz my: myślę, że nie ma celu trzymać tu wszystkich, bo to tylko żer dla szwabskiego ognia. Porucznik Grabek ze swoimi ludźmi odejdzie o drugiej. Z nim wszystkie Peżetki i inne babie wojsko. No... To koniec. Nie baw się pan z cywilami! Żadnych reklamacji. Za pół godziny ma ich tu nie być. Niech sobie biorą, co chcą, ale tylko same precjoza, bo toboły rzucą i tak. Powodzenia, sierżancie! *(wstaje)*

REDAKTOR Panie kapitanie...

KAPITAN A co?

REDAKTOR Mam prośbę...

KAPITAN Wal pan...

REDAKTOR Jest ze mną dwóch chłopców... Prawie dzieci. Pan kapitan wie? Janek i Wawrzon.

KAPITAN Wiem. No... „dzieci“ to przesada. Takich jest sporo. Więc?

REDAKTOR Chcę prosić, żeby ich pan przydzielił do porucznika Grabka. Na ich miejsce weźmie się dwóch ochotników. Znajdą się napewno.

KAPITAN *(z wahaniem)* Trochę niepotrzebna ta krętanina... Młodzi oni są, ale żołnierz dobry. Licho wie, kto się zgłosi od Grabka. My tu musimy mieć pewnych ludzi, sierżancie.

REDAKTOR Mimo wszystko swoją prośbę... ponawiam.

KAPITAN Hm... To pańscy krewni? Bo chyba nie bracia?

REDAKTOR Nie, nie bracia. Trudno mi wyjaśnić nasz stosunek, ale jeszcze raz proszę o to samo.

KAPITAN No... Więc dobrze. Niech pan to już załatwi i bierze się do swoich cywilów... Ale, ale! Ma pan jeszcze jakie żarcie pod fartuszkiem?

REDAKTOR Są żelazne porcje konserw i trochę sucharów.

KAPITAN Rozdać wszystko. Niech żrą ile wlezie. Nie wiadomo jak tam będzie z wiktem u świętego Piotra... No, chodźmy nareszcie!

Wychodzą.

SCENA IV

Janek, Wawrzon, żołnierze, później Pani z okna. — Przez chwilę, jak na początku aktu, słychać tylko odgłosy walki. Potem głosy i śmiech za barykadą. Na scenę wchodzi oddział powstańczy, który wraca z czujki. Wchodzą gromadą, wesoło.

JANEK *(chlebak przewieszony przez ramię, za pasem na cywilnej marynarce, dwa niemieckie granaty ręczne i „parabellum")* No, to i szabas. Myślałem, że dzisiaj coś będzie ekstra...

WAWRZON *(z karabinem poprzez ramię, w długich saperskich butach)* Iiii... W nocy przecie nigdy nic nie ma.

JANEK *(odskakuje od niego)* Au! Na nogęś mi wlazł, słoniu!

WAWRZON Nie chciałem...

Żołnierze przechodzą i znikają w bramie.

JANEK *(śmieje się)* Pamiętasz? Przyszedłeś boso. Powiedziałem wtedy, że się chyba znajdzie dla ciebie para butów w Warszawie. Znalazła się...

Siadają na brzegu chodnika.

WAWRZON Świat czasu. Mnie się zdaję, że ja się w tej Warszawie rodził...

JANEK A to dopiero miesiąc. No, prędko się tu żyje. Było nas sześciu, teraz dwóch. Florek umarł. Maniek zginął. Kiedy to jego zabiło, nie pamiętasz?

WAWRZON Dyć tego dnia, coście pod wodę nyrali, mięsa szukać.

JANEK A prawda! Jeszcze hale były nasze. Pierońsko trudno było spod wody wyciągnąć te dobro, ale że dobre było, to było. Pamiętasz szynki w puszkach?

WAWRZON Ba... Jeszczem takiego nie jadł w życiu.

JANEK Nur für Deutsche*)... Ech, żeby to Kacper był z nami, to by się chyba całkiem jucha utopił, a nie odszedł?

WAWRZON Może on jeszcze gdzie jest?

---

*) Nur für Deutsche (czytaj: nur fir dojcze) — tylko dla Niemców.

JANEK Może... Tyś właściwie wyszedł na tym wszystkim najgorzej. Całą wojnę przesiedziałeś w chałupie, za piecem, ale jak cię ruszyli, to już akurat w takie piekło, że trudno coś lepszego wymyślić dla samego Hitlera. Czemuś nie uciekał dalej na wieś?

WAWRZON Nie uciekał? A wiesz, co ja ci powiem, że jednego dnia tutaj nie oddam za życie aż do śmierci w chałupie...

JANEK Czemuż tak?

WAWRZON Bo tu ja poczuł w sobie ludzką moc. Jeszcze jak mi Niemcy zabili starych, tom w sobie miał ino pokorność, strach i zgryzotę. Nie mogłem sobie przedłożyć za co taka krzywda, za co tyle boleści, jeszczem się do kupy nie zebrał, jeszczem myślał, że widać tamci mają rację, bo któż by im się dał? Jak ten szwab na kolonii mierzył z rewolweru do Florka, tom złapał szczapę do ręki, ale golenie drżały pode mną ze strachu. Już nie o śmierć mi szło, ale o to, że ja rękę podnoszę na mocnego, na takiego, za którym prawo stoi. Dopiero jakeś krzyknął „Nasi!" jak my wyszli razem, jakem zobaczył naszą Polską chorągwię, co ten stary niósł nad ludźmi, to aż mi się ciemno zrobiło przed oczami... Nic, ino bym szedł za tą chorągwią, choćby w ogień, choćby do piekła, choćby na ostatni kuniec, szedłbym psiach mać, i walił naokoło z pełnej garści, wszystko przemagał, byle ona furkała nade mną wysoko jak ten orzeł, co w niebie leci. Wtedy się bracie poczułem z narodu. Wtedym uwidział, że ty, ja, redachtor, wszyscy my som jedno, jedna krew i jedna kość, to, czego ja z chałupy wyszedłszy nie czuł, bo mi każdy zdawał się obcy. A strachu już teraz nie ma we mnie nic. Bo ze mną jest naród i ze mną jest moc.

JANEK Tak... Strachu w tobie nie ma — to prawda.

Z bramy wychodzi „Pani z okna", cicho klęka przed grobem i zaczyna się modlić.

JANEK No i co? W mieście zostaniesz?

WAWRZON O, nie. Na rolę wrócę. Mnie tu nie żyć. Ale com widział, tom widział i co wiem, to wiem. Niech się ino to skończy, niech ino szwab pójdzie — obaczysz.

JANEK Ej, przyjadę do ciebie na mleczko, na kwaśne...

WAWRZON A przyjedziesz. A będziesz chciał to i ostaniesz. Brat mój jesteś.

Wchodzi Redaktor. Nie widzi chłopców.

SCENA V

Poprzedni, Redaktor.

PANI Z OKNA *(wstaje z klęczek)* Panie komendancie...

REDAKTOR *(odwraca się do niej i staje tyłem do chłopców)* Słucham pani.

PANI Z OKNA Proszę, bardzo proszę, zostawić mnie na miejscu... Nie kazać mi stąd iść. Ja już nigdzie nie chcę iść...

REDAKTOR Niestety, to niemożliwe.

PANI Z OKNA Ja nikomu nie przeszkodzę, nie wejdę do swojego mieszkania, jeżeli ono jest potrzebne. Ale tu... ten grobek to jest wszystko, co mi zostało na świecie. Tu leży moja Elżbieta. Ja... nie mogę stąd odejść.

REDAKTOR Cóż robić? Nie mogę nawet poradzić, żeby pani zwróciła się z prośbą do kapitana, bo on napewno tej prośby nie uwzględni. *(z wnętrza domu dochodzą gniewne głosy, hałas, płacze)* Pani słyszy, co się tam dzieje? Cóż by powiedzieli ci ludzie, gdybym chciał robić wyjątki?

PANI Z OKNA Więc usuniecie mnie... siłą?

REDAKTOR Nie. Wystarczy, że powiem pani prawdę. Jutro, o tej porze, nie będzie tutaj nic, słyszy pani? Ja nie

chcę być brutalny, ale i tego grobu nie będzie również. Ludzie, którzy tu zostaną, w przeciągu najbliższych dziesięciu godzin zginą wszyscy.

PANI Z OKNA A jednak ktoś zostanie?

REDAKTOR Tylko ci, co są potrzebni. Żołnierze.

PANI Z OKNA Więc pozwólcie mi być z nimi do końca i z nimi zginąć. Mam do tego prawo, panie komendancie. Dwóch synów oddałam.

Chwila milczenia.

REDAKTOR *(wzdycha)* Cóż robić? Proszę iść do siebie, zamknąć się, nie odpowiadać na pukanie i nie pokazywać się nikomu przed drugą w nocy...

PANI Z OKNA Bóg panu to wynagrodzi...

Redaktor odwraca się i widzi przyglądających mu się chłopców. Pani z okna wychodzi.

SCENA VI

Ciż sami, oprócz Pani z okna.

REDAKTOR Chłopaki! Czemu wy nie śpicie?

WAWRZON Do świtu daleko...

REDAKTOR Byliście na służbie? W „Niespodziance"?

JANEK Tak. Zmienił nas Haber.

REDAKTOR Cóż tam słychać?

JANEK Tam zawsze spokojnie.

WAWRZON Ino, że ludzi to jest na tyli gmach mało. Jakby chciał, to by tam wlazł i na durch przelazł, a nikt by nie wiedział.

JANEK Nasz, to może by i wlazł, ale Niemiec na obcym miejscu... Boi się.

REDAKTOR Idźcie teraz do Instytutu. Tam Rączka rozdziela konserwy i suchary. Aha, i jeszcze jedno, o drugiej — wymarsz. Odchodzicie z oddziałem Grabka.

JANEK Z oddziałem Grabka? Czemu tak, panie redaktorze?

REDAKTOR Bo taki rozkaz kapitana.

JANEK A pan... Zostaje tu?

REDAKTOR Tak... Ja zostaję z kapitanem do świtu...

JANEK Do świtu... *(po chwili)* Panie Redaktorze, ja jestem w Warszawie rodzony...

REDAKTOR Cóż z tego?

JANEK A z tego, że mnie tu w worku nie przynieśli i uszy mam także. Wiem dobrze, o co idzie. Tylko, że jak pan i cały oddział może zostać, to nas tyż nie ubędzie.. Nasze prawo być przy oddziale.

REDAKTOR Co z tobą, Janek? Dostałeś rozkaz!

JANEK Ja tego rozkazu nie wykonam. I Wawrzon także.

WAWRZON Dopraszam się... Ale to nie może być.

REDAKTOR Jednym słowem bunt załogi na pirackim okręcie? Mówisz jak szczeniak.

JANEK Nie, proszę pana, jak żołnierz. Muszę powiedzieć, że nie podoba mi się wojsko, a wojny nienawidzę, jak ciężkiej zarazy. Ale wojsko uczy jednej dobrej rzeczy, że nie wolno drugiego człowieka opuścić. Taki, co zdradza, odchodzi przed walką, a innych zostawia — nie wart śliny, żeby mu w gębę napluć. I dlatego mnie boli, że pan tak o nas myśli.

REDAKTOR *(wzdycha)* Ano, trudno. Skoroś już taki mądry, to ci trzeba wyłożyć od początku całą rzecz. Otóż na świecie tak jest, że jedno się zaczyna a drugie się kończy i dla życia jest zawsze ważniejsze to, co się zaczyna, choćby żal było starego. Była w Polsce szlachta, żarła, piła, rozbijała

sobie łby po sejmikach, ale jedno umiała, umiała umierać. W sześćdziesiątym trzecim umarła szlachta. To, co z niej dziś zostało, to już tylko kurz na bezwładnym narodzie. Naród wstanie i strzepnie ten kurz... Byli ułani, co rozsławili nasze męstwo po całym świecie. Na miejscu ich ostatniej szarży pod Kutnem, gdzie się rzucili z lancami na niemieckie czołgi, Polska im postawi pomnik. Bo warci. Ale nie będzie już ułanów, nic ich nie wskrzesi. A Polska będzie. Bez szlachty, bez ułanów, kontuszy i konfederatek, bo Polska to — wy, to przyszłość, Polska dziś — to sama tylko nadzieja. I dlatego, jeżeli trzeba wybierać między mną, co jestem już kartą na pół odwróconą przez życie, a wami, coście jeszcze cali w przyszłości — moim obowiązkiem jest zostać, a waszym — odejść. Odejść w przyszłość. Dlatego ja mam prawo wam to kazać, a wy słuchać musicie. Powiedziałem i już ani słowa więcej.

Blisko wybuch granatu, potem bliskie strzały, niewyraźne krzyki, „kucie" pepancem).*

REDAKTOR *(czujnie)* Co to? *(krzyczy do barykady)* Chłopcy, a co tam?

ŻOŁNIERZ Z BARYKADY Pokazuje jakby na „Niespodziankę"...

REDAKTOR *(Żołnierze spod barykady wstają)* Nawiązać czucie z „Niespodzianką". Zaraz z powrotem!

Żołnierze wychodzą przed barykadę. Przez bramę wchodzi kapitan.

SCENA VII

Poprzedni i kapitan.

KAPITAN Co to za awantura?

REDAKTOR Nie wiem jeszcze. Patrol wyszedł.

---

*) Pepanc. — działko przeciwpancerne.

Przez chwilę przysłuchują się strzałom, które pomału cichną. Jeszcze strzał. Jeszcze kilka... Rakieta. Cisza.

KAPITAN Nie rozumiem... Czyżby szwaby nabrały takiego animuszu, żeby w nocy z otwartej strony podchodzić na ogień? Nie sądzę...

Przed barykadą ruch. Na scenę wpada żołnierz.

SCENA VIII

Poprzedni, żołnierz.

ŻOŁNIERZ Gdzie dowódca?

KAPITAN Tutaj!

ŻOŁNIERZ Panie kapitanie! W „Niespodziance" Niemcy!

KAPITAN *(cofa się)* Co — o? Wy — kto?

ŻOŁNIERZ Łącznik.

KAPITAN Gdzie plutonowy Haber?

ŻOŁNIERZ Pewno nie żyje, albo... u Niemców. Ogarnęli całą szpicę. Przeszli z dołu, widocznie nasi na przodzie z lewej musieli puścić...

KAPITAN Dlaczego nie wysadziliście tej budy?! Przecież tam zaminowane?!

ŻOŁNIERZ Nie wiem...

KAPITAN Ej bieda, bieda... *(do żołnierza)* Idźcie raz do diabła! *(żołnierz wolno wychodzi)* Patrz pan, patrz pan... Cóż? Zaraz trzeba nacierać! Jeżeli ich się stamtąd nie wykurzy przede dniem, to dla nas — żadnych szans... Ech, diabli mnie biorą! Kosztować to będzie, kosztować. Jakże tu podłazić — to szczery plac! Tfu! wojenka...

WAWRZON *(do Janka)* Mów ino... ty!

JANEK Co mówić?

WAWRZON O naszym przejściu...

JANEK *(z nagłym gestem)* Panie kapitanie!

KAPITAN Czego tam?

JANEK Znamy przejście do „Niespodzianki" ogrodem i przez garaż... Można dojść pod sam gmach.

KAPITAN *(ożywia się)* Dobrze. Pójdziemy z dwóch stron. Poprowadzisz ludzi.

JANEK Ee... tak, nie, panie kapitanie. Tam z bronią nie przejdzie... Człowiek taki większy, jak pan, to w ogóle nie przejdzie. Tam możemy iść tylko my dwaj.

KAPITAN *(niechętnie)* No i co z tego? Niemcy się was zlękną, czy jak?

JANEK Nie, ale my wiemy gdzie leży zapał od min! Jeżeli min jeszcze nie znaleźli, to ich wysadzim!

KAPITAN Salomonie! Kolumbie! Ministrem umrzesz! A idźcież chłopcy kochani, biegiem, już! To może być zbawienie... Kto jeszcze wie o tym przejściu?

WAWRZON Chyba nikt. My sekret trzymali.

KAPITAN Cóż tam było?

JANEK *(wstydliwie)* Tam były, panie kapitanie... jabłka.

KAPITAN Ha, ha, ha! Niechże wam idą na zdrowie... Jeżeli wam się powiedzie, to... no, to wam nic nie dam, bo sam nie mam. Eh, nędza, psia krew. Walcie już...

Wawrzon pośpiesznie zdejmuje z pleców karabin, Janek — plecak. Wyciąga zza pasa parabellum. Składają to wszystko pod murem.

KAPITAN Bez broni pójdziecie?

WAWRZON Tam trudno. Dziurka taka, że aby głowa przejdzie...

KAPITAN No, ale to jednak wojna. *(woła do barykady)* Ej, chłopcy! Dajcie no tu ze trzy jaja...

Żołnierz podchodzi od barykady i podaje mu trzy ręczne granaty.

KAPITAN *(do Janka)* Schowaj to do kieszeni, nie przeszkodzi ci *(do Wawrzona, podając mu mały brauning, który wyjął z kieszeni)* Ty bierz to... no. Teraz uwaga: będziemy nacierać zaraz, jak wam się uda — po wybuchu. Jakby coś nie pasowało — rzucajcie granaty. Zawsze trochę ich to zajmie. No... z Bogiem!

Chłopcy wybiegają przez bramę.

SCENA IX

Ciż sami oprócz chłopców, żołnierze, Grabek.

KAPITAN *(wkłada do ust gwizdawkę i gwiżdże trzy razy. Jest to sygnał alarmu. Z bramy zaczynają wybiegać żołnierze, pojedyńczo i grupkami. Wybiega również Grabek. Otaczają kołem kapitana i redaktora. Jest to typowy oddział powstańczy. Mundury niemieckie, kurtki, marynarki, kilku w kombinezonach z ochronnego niemieckiego brezentu w zielone i żółte plamy. Maciejówki, narciarki i hełmy wojskowe, czapki polskie. Wszyscy z opaskami i bardzo różnorodną bronią)* Chłopcy! Niemcy wleźli do „Niespodzianki"... *(poruszenie, Grabek: „O psia!")* Musimy ich stamtąd wykurzyć? Jest dość prawdopodobne, że uda się ich wysadzić miną. Nasi poszli tam już. Zaraz po wybuchu skoczymy. Tak czy inaczej, czekać na mój gwizdek. Po wyjściu na ogień — iść sznurkami, kto może — pod murkiem. Potem kupą do mnie i w bramę. Tymczasem rozłożyć się wygodnie na barykadzie, żeby nie było tłoku przy wyjściu. Porucznik Grabek

ze swoimi ubezpiecza barykadę. W razie wypadku obejmuje po mnie komendę sierżant Skryba. To wszystko. Jazda!

Większa część żołnierzy idzie do barykady i obsadza ją, gotując się do skoku. Część ludzi Grabka rozchodzi się po scenie.

GRABEK Dlaczego tamci nie wysadzili budy?

KAPITAN Diabli ich wiedzą. Dotąd nie mam pojęcia co się tam stało.

GRABEK Kto poszedł wysadzać?

KAPITAN Wasze szkraby z kolonii. Coś marudzą... Boję się o nich. No, powodzenia, Grabek. Na mnie czas.

Kapitan lokuje się na szczycie barykady. Wszyscy oczekują w naprężeniu. Jest długa chwila ciszy, przerywanej tylko odgłosami dalekiej walki. Grabek patrzy na zegarek. Nagle w niebo strzela słup ognia i słychać mocny huk. Kapitan zrywa się na nogi i gwiżdże przeraźliwie. Oddział szturmowy rzuca się z barykady w dół i ginie z oczu widza. Słychać odgłos biegnących. Na niebie rakieta. Żołnierze Grabka i on sam podbiegają do barykady.

GRABEK Wysadzili!

Zza barykady słychać niewyraźne krzyki, strzały, huk ręcznych granatów. Odzywa się działo. Hałas wzmaga się, potem cichnie.

SCENA X

Ciż sami oprócz Kapitana, Redaktora, Szturmowców. Później pojawiają się ranni.

GRABEK No, zdaje się, że w porządku... I chyba tamtych już nie ma, bo by kapitan nie zrezygnował tak prędko z ataku... Konwersacja trwałaby dalej.

ŻOŁNIERZ I Po takim fajerwerku powinni byli się w ogóle uspokoić. Kto im tak zasolił?

GRABEK Ano... nasz Jasio i Wawrzon.

ŻOŁNIERZ II Cięte szczeniaki. Ja mówię, że do bitki to tylko takie knoty. Ale żeby dorośli ludzie się w to bawili — trudno pojąć.

GRABEK Skoczcie no, panie starszy, do ambulansu i zobaczcie, jak tam wygląda. Wszystko tak na łap-cap, że oni mogą nie wiedzieć, że będą mieli rannych.

Żołnierz wychodzi w bramę.

ŻOŁNIERZ NA BARYKADZIE Ktoś lezie... Och, niosą kogoś!

GRABEK Z przejścia tam, towarzysze.

Dwóch żołnierzy szybkim krokiem wnosi rannego, który jęczy.

GRABEK Prosto, prosto do ambulansu... Nasi w „Niespodziance"?

JEDEN Z NIOSĄCYCH *(nie odwracając się)* Tak, już skończone.

Przechodzą, — po chwili znowu wchodzi żołnierz, z jedną nogą podgiętą, oparty ramionami na barkach dwóch kolegów.

GRABEK Opatrzony?

ŻOŁNIERZ II Tymczasowo.

GRABEK Przechodźcie do ambulansu...

Znowu żołnierz, z ręką na temblaku, utyka.

GRABEK Gdzieś dostał?

ŻOŁNIERZ III W rękę, obcierką, głupstwo.

GRABEK Jak było?

ŻOŁNIERZ III Bardzo dobrze. Masz co zapalić?

GRABEK *(wkłada mu w usta papierosa)* Straty duże?

ŻOŁNIERZ III *(zaciąga się)* Nie wiem, ale zdaje się, że nikt nie zginął. Szkopy zwiały zaraz po wybuchu. Ja dostałem, sam nie wiem skąd.

GRABEK Kapitan tam idzie?

ŻOŁNIERZ III Tak, urządza pozycję. Fest rozwaliło tą „Niespodziankę": cały front poszedł w diabły. Mówię ci — szopa. W jednym pokoju, prawie nietkniętym, na tapczanie stoi — klozet. Cały bielutki, czyściutki, jakby go kto postawił. Ale urządzić się tam do obrony można nawet lepiej jak przedtem. No, ja idę, bo mnie łapa rwie. Serwus.

GRABEK Serwus...

Przez obejście barykady wchodzi Redaktor, niosąc na ręku Wawrzona, Janek podtrzymuje mu głowę.

SCENA XI

Poprzedni, Redaktor, Wawrzon, Janek, Pani z okna.

GRABEK O... Wawrzek... Bardzo dostał?

REDAKTOR *(przemilcza, kieruje się do noszy pod murem)* Tu mu będzie najwygodniej. Dajcie no co pod głowę...

Pani z okna wychyla się, podając Jankowi poduszkę.

PANI Z OKNA Proszę...

Janek ostrożnie podkłada poduszkę pod głowę jęczącemu Wawrzonowi.

JANEK Zaraz ci będzie lepiej. Odpoczniesz godzinkę, a potem odprowadzę cię do szpitala. Będziesz leżał jak król.

Chwila milczenia.

WAWRZON Janek...

JANEK A co?

WAWRZON Weź moje buty... dobre są.

JANEK Coś ty Wawrzek? A w czymże wejdziesz na pole?

WAWRZON Na ... pole?... Po polu w nocy się nie chodzi... A do świtu... O... do świtu daleko... Prawdę powiedzieć... to tu nad nami i w dzień słonka nie widać... Dym ino i kurz.

GRABEK Nie trzeba tyle mówić, Wawrzek. Leż spokojnie.

WAWRZON A kiej chce się mówić... Chociaż trudno...

JANEK Pogadamy, jak ci się rana zagoi.

WAWRZON Rana... to nic... Ino, że... na oczy... noc wchodzi... Ale jeszcze was widzę... Widzę chorągiew... Jezu!... boli...

REDAKTOR *(mówi zwolna, przyciszonym głosem, jakby opowiadał bajkę)* Tak, synku, boli. Rana musi boleć. Ale bądź cierpliwy, ból minie. Wszystko minie. Minie wojna, skończy się powstanie, z gruzów wyrosną nowe miasta i na rolach, pokąsanych pociskami, wykłoszą się nowe zboża. Tobie się one wykłoszą, Wawrzon, tobie się pokłonią. Będziesz stał na swojej roli — gospodarz — w słońcu, we wolności, w miłości i szacunku ludzkim. A kiedy przyjdzie czas, że nam się wszystkim wyda nieprawdą pamięć tej nocy bez końca, co wisi nad nami teraz, to chrońmy ją od zapomnienia... Świat musi pamiętać, że ta krwawa zgroza nie wyrosła z woli Boga, ani z wyroku losu, ani z fatum naszej ludzkiej doli, tylko z serc zatrutych nienawiścią, z mózgów oszalałych od pychy i z woli przemocy człowieka nad innym człowiekiem. W twoim sercu, Wawrzon, nie lęgną się takie potwory. Ale kiedyś, po czasach, jak siądziesz przed swoim obejściem po pracy i zachód słońca będzie srebrzył twoją siwą już wtedy głowę — synowi, co się przyjdzie pytać o wojnę, powiedz prawdę. Powiedz mu, że nie ma w niej ani

słońca, ani piękna, ani honoru, ani żadnej ludzkiej sprawy... Jest tylko brud, śmierć i noc...

GRABEK S k o n a ł...

Redaktor pochyla się nad Wawrzonem i zamyka mu ręką powieki. Od barykady idzie kapitan.

SCENA XII

KAPITAN Szkraby! Gdzie są szkraby? Dawać ich tutaj! Bibę wyprawię! Honorowy bankiet!

GRABEK Jeden z nich już nie przyjdzie... Skonał przed chwilą.

KAPITAN *(podchodzi do noszy i patrzy chwilę w milczeniu)* Tak... Ten chłopiec oszczędził nam połowę ludzi na jutrzejszą walkę. Wart krzyża. Dawniej położonoby mu na trumnę „Virtuti Militari", dziś... nie możemy mu dać nawet... trumny. Cóż można zrobić dziś? Chyba to jedno... I myślę, że to nawet zrobić należy.. *(zrywa z drzewca nad bramą biało-czerwoną chorągiew, podchodzi do noszy i rzuca ją na ciało Wawrzona)* Śpij, mały towarzyszu, pod naszą chorągwią... Niech ci da lekkie sny.

Cofa się o krok. Kapitan, Grabek i Redaktor salutują ciało chłopca, okryte flagą. W tej chwili z otwartego okna fortepian odzywa się melodią „Jeszcze Polska nie zginęła". Nie jest to hymn, akordy nie biją potężnie zwycięstwem, ani wolą. Spod palców „Pani z okna" płynie cienką strugą melodia tułaczej piosenki, w której potężną jest tylko — N A D Z I E J A.

K O N I E C.

Proszowice, 1945 r.

PIERWSZE PRZEDSTAWIENIE „DROGI DO ŚWITU"

odbyło się

w Krakowie w „Starym Teatrze"
pod dyr. Andrzeja Pronaszki
dnia 15 marca 1946 r. w następującym wykonaniu:

Reżyser:	*Józef Wyszomirski*
Ilustracja muzyczna:	*Stefan Kisielewski*
Dekoracja:	*Andrzej Stopka*

O S O B Y:

JANEK	*Władysław Sheybal*
MANIEK	* * *
WAWRZON	*Tadeusz Łomnicki*
FRANEK	* * *
KACPER	*Stanisław Gawlik*
FLOREK	* * *
REDAKTOR	*Leopold Skwierczyński*
GRABEK	*Igor Śmiałowski*
BUJAKOWSKA	*Helena Chaniecka*
LEKARZ	*Antoni Kossowski*
KAPITAN	*Bolesław Mierzejewski*
MARA	*Helena Bystrzanowska*
NIEMIEC	*Józef Dwornicki*
PRZEKUPIEŃ	*Józef Daniel*
DAMA I	*Elżbieta Dankiewicz*
DAMA II	*Manuela Kiernikówna*
PANI Z OKNA	*Janina Warnecka*
ŁĄCZNICZKA	*Ewa Szumańska*
SĄSIADKA	*Manuela Kiernikówna*
PRZECHODNIE, ŻOŁNIERZE NIEMIECCY I POWSTAŃCY	*Zespół „Studia Teatralnego"*

Piosenka: „Warszawskie dzieci" St. R. Dobrowolskiego i A. Panufnika.



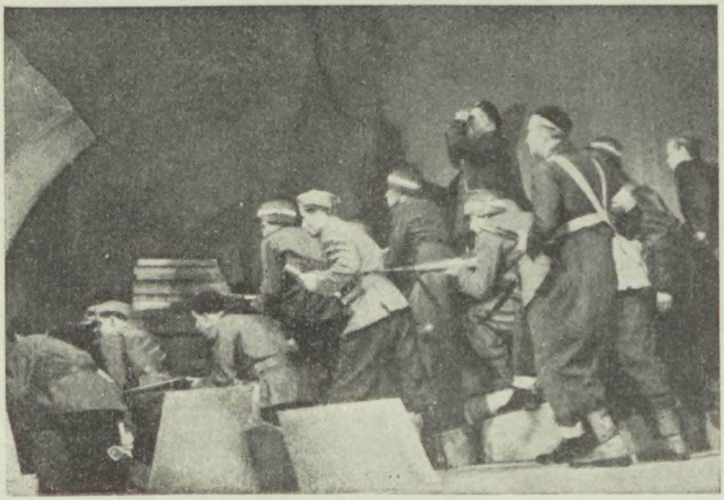
AKT I: Fragment sceny I (Inscenizacja warszawska)



AKT II: Opowiadanie Florka (Inscenizacja warszawska)



AKT III: Fragment sceny I (Inscenizacja warszawska)



AKT III: Oczekiwanie na znak do ataku (Inscenizacja krakowska)



AKT III: KAPITAN: „Śpij, mały towarzyszu, pod naszą chorągwią". (Inscenizacja krakowska)